№ 44. Warszawa, dnia 2 Listopada (21 Października) 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BECZKA DANAID.

Gazety niemieckie — naturalnie te, których sumienia nie nakręca kluczyk z gadzinowego złota — przypominają sobie z niedalekiej przeszłości następujące wypadki. Kiedy zaczęto gwałtownie wypompowywać z kieszeni narodu miliony na pomnożenie armii, dzienniki opozycyjne przepowiadały, że to ssanie trwać będzie ciągle i nie zatrzyma się nawet przed ogólnem zubożeniem. Wtedy z łamów prasy najemnej zagrzmiały wymysły, a z fotelów ministeryalnych najuroczystsze przysięgi, że żądana ofiara jest ostatnią, że po niej już Niemcy nie będą się bały nikogo, prócz Boga. Kto inaczej utrzymywał, tego obdzierano z czci i wiary, zaliczano do *Reichsfeindów*—nieprzyjaciół państwa, a nawet z mocy wyroków sądowych posyłano do więzienia. Byli między prorokami tacy, którzy swe przepowiednie odpokutowali 9 miesięczną kozą. I oto w lat parę po tych zaprzeczeniach, przysięgach i oburzeniu, jak gdyby ich nigdy nie wymówiły usta i nie słyszały uszy, podstawiono sejmowi niemieckiemu beczkę Danaid z żądaniem, ażeby on w nią, oprócz zwykłej porcyi corocznej, wsypał nowych kilkadziesiąt milionów marek. Jak szybko rósł głód Molocha i czem go potrzeba dziś zaspakajać, przekona krótki rachunek historyczny. Od r. 188$^1/_2$ do 188$^4/_5$ wydano na siłę zbrojną w Niemczech 1,844,700,000 marek; w ciągu zaś następnych czterech lat 2,807,800,000. Przed dwoma laty budżet wojskowy z 419 milionów podniesiono nagle do 450, a obecnie ma on wynosić 474 według nowego etatu. Różnica między ostatnim a przedostatnim okresem sejmowym (kiedy rząd nie miał jeszcze posłusznej większości) wynosi w rozchodach na te cele około 764 milionów marek. Naturalnie nowy „dodatek" nie stanowi jeszcze końca szruby w tym kierunku; bo gdyby nawet urzędownie zapewniono, że jest ostatnim, nikt temu przyrzeczeniu nie uwierzy. Co tam będzie sprawione za owe 24 miliony w armii i marynarce — mniejsza, jest to kwestya ważna dla kół wojskowych. Dla nas zaś główne znaczenie posiada objaw nowego, strasznego natężenia sił zbrojnych niemieckich, które wywoła odpowiednie ofiary w innych państwach. Brzemię tedy militaryzmu, ciążące na Europie od lat tylu i wyniszczające ją śmiertelnie, powiększy się w roku przyszłym znacznie. I to się nazywa „zabezpieczaniem pokoju!" Jeżeli Bismark nie żałuje swych tryumfów z r. 1870, jeżeli nie wyrzuca sobie zbytniej chciwości, przez którą rozwarł coraz szerzej roztwierającą się i niczem niezapełnioną otchłań nienawiści międzynarodowej, jeżeli jest zadowolony z wytworzenia obecnych stosunków, wymagających ciągłego przekształcania Europy na wielkie obozowisko, dręczenia jej trwogą i rujnowania bezpłodnemi cywilizacyjnie ofiarami, to zaiste trudno nam pojąć rozum, moralność i cele tego człowieka. Bo ostatecznie nie pragnie on chyba zasypać świata gruzami, napełnić nędzą, zmordować niedolą, nie pragnie chyba tylko burzyć i niszczyć, lecz chce coś zbudować. I co buduje? Czyż podobna, ażeby mniemał, że taki stan może być trwałym, że Europa ciągle będzie stała pod bronią i rzucała wszystkie swe zasoby w koszary i armaty? Zdziczał ten nasz wiek straszliwie, ale tyle jeszcze w nim pozostało cywilizacyi, że wobec niej trudno przypuścić, ażeby mnożenie korpusów armii, wynajdywanie coraz bardziej morderczych narzędzi wojennych było ideałem jakiegoś polityka i męża stanu. A przecież chwilami zdaje się, że ten Brennus zmartwychwstały z przed wieków zakochany jest szczerze w tem dziele zniszczenia.

I cóż mu odpowiedzą przedstawiciele narodu w sejmie? Podobno nawet nie przyjedzie ze wsi, ażeby ich przekonać i nakłonić. Dawniej w trudnych wypadkach to robił, dziś zadawałby sobie trud zbyteczny. Potrzebuje tylko objawić swą wolę, a czeladź ją spełni, bo z jego łaski żyje. Kiedyś Richter (przywódca partyi postępowej) rzucił trafne słowo, które odtąd stało się nazwą dla większości sejmowej: jest to *Angstprodukt* — produkt strachu. Zwłaszcza narodowo-liberalni, zajmujący najniższy poziom moralny stronnictw politycznych, wyszli z urny wyborczej tylko dzięki rozsianej sztucznie trwodze wojennej i nacisku wywieranego na żywioły rządowi podległe. Niech dziś kanclerz cofnie im swoją łaskę, po pierwszych wyborach znikną bez śladu. A oni to właśnie przechylają swymi głosami szalę obrad sejmowych. Gdyby więc tej czeredzie kazano uchwalić wyciśnięcie z narodu ostatnich kropli krwi, uświęcić prawem największe okrucieństwa, nie zawaha się ona w swem posłuszeństwie. Ta zbieranina jest głuchą na wszelkie dowody, wywody i zaklęcia, a opozycya bezsilną. Dziś sejm niemiecki jest komedyą parlamentarną, dla Bismarka nieszkodliwą, dla narodu niepotrzebną. Gdyby temu teatrowi odjąć war-

tość miejsca, z którego posłowie mogą wygodnie i bezkarnie głosić swe skargi i idee, nie miałby on żadnej i możnaby go bez straty przemienić na cyrk lub ujeżdżalnię. Bo wtedy kanclerz również rządziłby samowładnie, jak dziś rządzi, a kraj oszczędziłby sobie kosztów utrzymywania sceny i aktorów dla bezcelowych widowisk.

Beczka tedy bezdenna będzie znowu napełnioną i znowu za rok lub dwa próżną. Ponieważ ani Danaidy jej nie zatkają, ani lud nie rozbije, więc nie ustąpi ona prędzej, aż sławny „pokój" dojdzie wreszcie do tego pokoju, do którego od lat wielu dąży.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zdawało się, że po tylu ogłoszonych wspomnieniach o cesarzu Fryderyku, który jako książę żył w bezczynności a jako monarcha nie miał czasu odegrać ważniejszej roli, zdawało się — mówimy — że ta krynica wyschła a jeżeli nawet pozostały w niej jakieś nieznane krople, to dola Geffckena odstraszy innych od wstępowania w jego ślady. Tymczasem wystąpił znowu z księgą pamiątkową i to nie byle kto, bo znakomity powieściopisarz niemiecki G. Freytag, który Fryderykowi towarzyszył podczas wojny francusko-pruskiej. W jego wiązance nie znajdujemy wielu rysów nowych, a przynajmniej takich, które by interesowały czytelnika polskiego. Są to przeważnie potwierdzenia świeżymi dowodami doniesień dawnych. I tu ukazuje się książę jako człowiek miękki, szlachetny, trochę marzyciel czułostkowy, pragnący działać a ubezwładniony, rodzaj Hamleta pruskiego, walczącego z Bismarkiem. Freytag silniej tylko, niż inni, zaakcentował w nim dumę a nawet próżność książęcą. Pomimo swej dobrotliwości Fryderyk traktował ludzi według rang i stopni dostojeństwa, wszystkie uroczystości, których był bohaterem, miały w jego oczach nadzwyczajną wagę; niekiedy nawet drapował się w płaszcz wojskowy niby monarcha w purpurę. Między wierszami tych wspomnień wyczytać można, że jeżeli w jego głowie narodziła się pierwsza myśl wskrzeszenia cesarstwa niemieckiego, to była raczej dzieckiem dumy i chęci okrycia się blaskami majestatu, aniżeli owocem dojrzałych rozmyślań. Fryderyk był wysoce ambitnym i próżnym, domagał się korony cesarskiej dla Hohenzollernów nie dla korzyści politycznych, ale dla tytułu. Gdy mu Freytag w rozmowie podsunął skromniejszy — „Herzoga Niemiec," żachnął się gniewnie i — udrapował się w płaszcz teatralnie. Że był czułym mężem i ojcem — o tem wiadomo.

Nie ulega wątpliwości, że tajny radca Freytag, pamiętając o tajnym radcy Geffckenie przemilczał o niejednym szczególe, któryby mógł rozdrażnić pogromcę wszystkich radców niemieckich. Czy jednakże nie przepuścił jakiegoś słówka, które nań ściągnie ostrą naganę—dowiemy się od *Nordd. Allg. Ztng* i jej towarzyszek.

Oprócz dopłaty na cele wojskowe, głównem zajęciem sejmu niemieckiego będzie ustawa przeciwko socyalistom. Omylono się przypuszczając, że wejdzie ona w skład praw zwykłych, jako uzupełnienie kodeksu karnego. Bynajmniej, rząd wymaga tylko, ażeby mu te środki prześladowania socyalistów, które dotąd posiadał czasowo i ciągle odnawiać musiał, przyznano jako władzę stałą. Drobne złagodzenia kilku surowych przepisów wynagrodził sobie znacznem zaostrzeniem innych. Nawet narodowo-liberalni (rozumie się w gazetach) uważają to żądanie za zbyt wygórowane.

Uuroczystość zaślubin następcy tronu greckiego z księżniczką pruską Zofią już się zakończyła. Z Aten cesarz niemiecki jedzie do Konstantynopola, gdzie ma być przyjęty z nadzwyczajnym przepychem i kosztem. Pusta kasa sułtańska dobywa resztki zasobów na to przyjęcie, które długo pamiętać ona będzie. Dla uświetnienia pobytu monarchy niemieckiego zamierzono ubawić go manewrami floty tureckiej, ale próba wypadła tak fatalnie, że coprędzej wysłano do Anglii młodych marynarzy na naukę. Bo owa flota na coś innego również przydać się może.

Ks. Ferdynand, obleciawszy Zachód podobno z pierścionkiem zaślubinowym wrócił do Sofii, gdzie już zastał podpisaną pożyczkę bułgarską na 25 mil. fr., w której pośredniczy wiedeński Länderbank. To pośrednictwo oburza prasę ruską, ale *Now. Wremia* ostrzega, że nie należy w tem upatrywać dowodu wyzwolenia się Bułgaryi i utrwalenia obecnych jej rządów.

Na mowę tronową skupczyna serbska odpowiedziała adresem do tronu, dziękującym, między innymi, Rosyi za przysłanie przedstawiciela na koronacyę króla Aleksandra. Wyrażenia wdzięczności dla Rosyi domagało się zwłaszcza stronnictwo liberalne.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY O GALICYI.

I. Reprezentacya krajowa.

Pod względem polityczno-reprezentacyjnym Austrya jest dziwolągiem. Na całej kuli ziemskiej nie znajdziesz drugiego państwa, w któremby panowały równie chaotyczne stosunki. Zarzucają Francyi anarchię; bezwątpienia, ustawiczne zmiany gabinetu objawiają bezrząd, lecz w ustroju reprezentacyjnym Francyi widać pewną logikę państwową, jednolitość, wynikającą z jasno określonej zasady politycznej: równego dla wszystkich prawa głosowania powszechnego. W systemie przedstawicielstw Austryi trudno dopatrzeć się konsekwencyi. Jest on niedorzecznością polityczną, bezładem w logice państwowej, karykaturą śmieszną, z nieproporcyonalnymi wymiarami, jaką widzimy w obrazie zwierciadła wypukłego. W jaki sposób powstał ten system? Wyszedł on chyba z kotła czarownicy, w którym szmalec siedmiu złodziei gotowano z lulkiem, pietrasznikiem i nie wiadomo jakimi jeszcze ziołami. W Szwajcaryi żyją obok siebie trzy narodowości—a raczej trzy grupy, różniące się ze sobą pod względem języka — i resztki plemienia retycko-romańskiego w dwudziestu trzech kantonach posiadających zupełny samorząd wewnętrzny. Nicią przewodnią jest głosowanie powszechne, zastosowane do gminy, kantonu, związku. W ustroju autokratycznym z zupełną niwelacyą stanów zasada jest również jasna. Tylko w Austryi istnieje chaos; sprawia ona wrażenie orkiestry, której członkom rozmaite rozdano nuty. Oczywiście dzieje jej dają nam klucz do rozwiązania zagadki systemu. Jest on wynikiem mnóstwa ugód, ustępstw drobnych i poważniejszych, handlarskich targów z opozycyą w chwilach bezsilności państwo-

ONA i ON.

ONA.

I.

Zakończyła pacierze. Ostatnie wyrazy „Pod Twoją obronę" i „Ofiarowanie" wymawiała gorączkowo, z pośpiechem, jakby ją kto napędzał do szybszego odprawienia modlitwy.

Wstała wreszcie. Prędko, niecierpliwie zaczęła poprawiać poduszki i układać kołdrę na łóżku.

Miała się rozebrać i położyć.

Nie, nie może tak zaraz: musi pierwej uspokoić nerwy, które się trochę burzą.

Zaczęła chodzić po pokoju.

Drgający płomień olejnej lampki, zapalonej przed obrazem Matki Boskiej, rzucał zielonawe światło na ściany i na drewnianą, białą podłogę. Kwiaty w oknie drzemały. Cień padał na stół, przykryty szydełkową serwetą, na komodę z maleńką toaletą i na maszynę, postawioną w głębi. Wyraźniej rysował się tylko stary, zniszczony klęcznik pod obrazem, naprost łóżka, dwa bukiety z żółtych nieśmiertelników, zdobiące pułeczki po bokach obrazu i niski, wyścielany stołeczek, na którym przesiągał się zaspany kociak.

Przed godziną była zupełnie spokojna. Powiedziała dobranoc Matyldzie i weszła do siebie.

Przy pacierzu dopiero coś ją opanowało.

Zdawało jej się, że duszno w pokoju. Odstawiła kwiaty i otworzyła lufcik.

Po chwili przeszło ją po członkach dokuczliwe zimno.

Zamknęła go napowrót. Napowrót poustawiała kwiaty w porządku, poobrywawszy suche, zwiędłe listki i popoprawiawszy założone jedna na drugą gałązki.

Śnieg objął się o okna drobnymi, zbitymi płatkami. Podsuwało jej to pod pamięć jedną dawną, dobrze znaną noc zimową.

Nie chciała wspomnień, odrzucała je całym wysiłkiem woli, pragnąc snu spokojnego, twardego, bez przebudzenia się aż do jutrzejszego ranka.

Stanęła przy maszynie i zaczęła przekładać skończoną przez dzień robotę.

Obliczała zamówienia, jakie ma na ten tydzień i na następny.

Nie mogła myśleć swobodnie. Ręce jej drżały, serce biło, a w piersiach rosło uczucie, jakiego doznawała teraz przed silnym płaczem, a dawniej — przed wielką radością, w tęsknocie, kiedy wiedziała, że po kilku dniach rozłączenia zobaczy *go* za godzinę!..

Blada twarz mężczyzny o ciemnym zaroście i dużych szarych oczach przemknęła przed jej wyobraźnią.

Cień szafy padał na ścianę jakoś dziwnie. Rósł powoli i przeistaczał się w wysoką, barczystą postać męzką, której ramiona i głowa niknęły w pomroce.

Przeżegnała się kilka razy, zamknęła pudło maszyny, przykryła ją białą serwetką i zaczęła się rozbierać.

Sen daleki od jej powiek. Czuje, że położy się naprożno.

Otworzyła szafę. Chce wyjąć robotę, zapalić lampę stojącą na stole i szyć do rana.

Boi się jednak światła. Oczy jej zmęczone. Lepiej odpocząć. Jutro by nie mogła pracować.

Zamyka szafę. Coś skrzypnęło. Zdawało jej się, że ktoś w bliskości na nią zawołał dwukrotnie. Usłyszała wyraźnie: „Ludko! Ludko!.."

Obejrzała się.

Nikt nie wszedł. Drzwi były zamknięte. Matylda spała w sąsiednim pokoju. Ciężki, miarowy oddech dochodził stamtąd.

Cień na ścianie ruszał się w jej oczach, pełzał pod same jej stopy. Co to znaczyło? Sama nie wiedziała.

Krzyknęła, uciekając przed nim na łóżko.

wej, pomieszania zmurszałych tradycyj z nowymi prądami, wyzyskania waśni narodowościowych itd. itd. Specyalne uprzywilejowanie feodałów trudno uważać za nić przewodnią. Zdawałoby się, że w centralizacyi odszukamy jednolitość. Gdzież tam! Łatano płaszcz, jak okazała się potrzeba. Nic dziwnego, że sprawia on teraz wrażenie szaty błazna. A jednak widać w tem wszystkiem myśl zasadniczą. Jest nią dążenie rządu, ażeby koncesye sprzedawać jak najdrożej. Dążyć zawsze w tył z zasady, chyba że zmuszą iść naprzód. Wówczas targować się trzeba, udawać, że się chce iść naprzód, a potem, w chwili stosownej, zmienić się znowu w politycznego raka.

System reprezentacyjny w Austryi jest *stanowym*. W wyborach przyjmują udział cztery grupy: wielka posiadłość ziemska, miasta i miejscowości fabryczne, izby handlowo-przemysłowe i gminy wiejskie. System ma być stanowy, lecz gdzież jest reprezentacya stanu robotniczego? Warstwa, której nikt w świecie nie odmówiłby prawa do nazwy: stan, w politycznem pojęciu stanowej Austryi nie jest stanem. Czemże jest zatem? Niczem! Powiedziećby o niej można jak ongi Sieyes mówił o stanie trzecim. Średnie wieki były sprawiedliwsze; czeladnicy nie byli wówczas pozbawieni praw, mieli własne korporacye, swoich deputowanych w cechach.

Przyjrzyjmy się bliżej ustawom normującym wybory do sejmów prowincyonalnych. Zaczynamy od pierwszej grupy: wielkich posiadaczy.

Cenzus wyborczy wynosi w Czechach, Morawii i na Szlązku 250 złr., w Czechach wchodzi w to suma przynajmniej 200 złr. opłacanych jako podatek gruntowy. Dlaczego tylko w Czechach? Nie wiadomo. W sąsiedniej Austryi niższej cenzus wynosi tylko 200 złr., w Tyrolu zaś topnieje on do 50 złr. W innych zresztą prowincyach (a zatem i w Galicyi) wystarcza podatek 100 guldenowy, ale w Karyntyi i Krainie w sumie tej muszą być zawarte przynajmniej $^1/_5$ podatku gruntowego. Dlaczego? Jest to właśnie tajemnica stanu Krainy i Karyntyi. Jeżeli w Tyrolu potrzeba tylko 50 złr. płacić do kasy, to dlatego może, iż równocześnie legitymować się należy dyplomem szlacheckim. A gdyby dyplom zjadły myszy?.. W Dalmacyi za to nie potrzeba mieć ani pergaminu szlacheckiego, ani posiadłości ziemskiej, ażeby głosować jako posiadacz ziemski. Potrzeba tylko należeć do najwyżej opodatkowanych (od 100 złr. włącznie). Na Szlązku książęta cieszyńscy, opawscy itd., choćby byli goli, jak święci tureccy, mogą należeć do pierwszej grupy. Na Bukowinie konsystorz biskupi należy do wielkich posiadaczów. W Morawii i Galicyi mogą głosować w tej grupie nawet kobiety... oczywiście przez prawnych zastępców męzkich.

W grupie miast panuje również rozpaczliwa różnorodność. W Wiedniu głosujący opłacać musi przynajmniej 5 złr. podatku (bezpośredniego). W innych gminach o trzech kołach wyborczych wszyscy członkowie dwóch pierwszych kół mają prawo głosowania, w trzeciem ten tylko może głosować, kto płaci przynajmniej 5 złr. do kasy. Ustawa ta obowiązuje w Austryi niższej, Styryi, Krainie, Czechach itd., ale w Austryi wyższej, Salcburgu, Istryi a także w Trydencie, Insbruku itd. członek trzeciego koła musi opłacać przynajmniej 10 złr.

W gminach miejskich o mniejszej ilości kół wyborczych a także we wszystkich miastach należących do grupy drugiej w Galicyi, Bukowinie i Dalmacyi, prawo głosu mają dwie trzecie wszystkich opodatkowanych wyborców gminnych. Nie chcemy dalej wyliczać różnorodnych ustaw odnośnie drugiej grupy. Dodamy tylko, że w miastach, należących do niej, mogą bez względu na cenzus głosować księża, urzędnicy, profesorowie i nauczyciele, lekarze itd.

Pomijamy na razie grupę trzecią. Zastanowimy się obszerniej nad czwartą, nad wyborcami z małej posiadłości. W projekcie ustawy o rybołówstwie, przedstawionym swojego czasu sejmowi galicyjskiemu, pierwszy artykuł opiewał: „Do ryb zalicza się i raki.“ „Projektodawca“ — jak mówią w Galicyi — głowa do pozłoty, chciał przez to wyrazić, że raki wobec ustawy sejmowej mają być równouprawnione z rybami, niebacznie jednak wstrząsnął podwalinami systematyki zoologicznej. Nie wiemy dokładnie, czy artykuł ten utrzymał się w uchwalonej ustawie. Gdyby go przyjęto, nic w tem nie byłoby dziwnego, w Austryi bowiem „do wsi zalicza się i miasta.“ W Galicyi np. tylko 23 miast (w wyborach sejmowych tylko 15 miast) należy do drugiej grupy wyborczej, tymczasem wszystkich miast liczy ta prowincya 109, miasteczek zaś z górą 190! Miasta takie, jak Horodenka, mające przeszło 10,000 mieszkańców (jeszcze w r. 1880), lub Jaworów, Zbaraż itd., należą do gmin wiejskich, w chwili gdy chodzi o wybór posła. Wówczas kiedy płacą podatki, są zwykłemi miastami, nagle zmieniają się jak Proteusz, przedzierzgają się w dzień wyborów na wsie. Widzimy to zresztą w całej Austryi. I w tej grupie wyborczej różnych krajów austryackich panuje szczególna rozmaitość. Wspólną atoli cechą wyborców z mniejszej posiadłości jest ta drobna okoliczność, że nie mają oni prawa wybierać posła. Jakto? — zapytacie. Oto poprostu dlatego, że wybierają tylko wyborców, którzy dopiero bezpośrednio mianują posła. Siedzi malarz przed płótnem i maluje malarza siedzącego przed płótnem... sens ten sam. Wyborcy pośredni zowią się w Galicyi „*pra*-wyborcami.“ Kiedy słyszę to słowo, zdaje mi się, że owiewa mię atmosfera okresu dyluwialnego, że widzę przed sobą przedpotowego słonia, praojca dzisiejszego gatunku. Na 500 mieszkańców wsi, miast i miasteczek (z wyjątkiem 23 miast w Galicyi) przypada jeden właściwy, bezpośredni wyborca. Lecz sądzicie zapewne, że każdy członek gminy byle był mężczyzną i ukończył lat 24, ma prawo być pra-wyborcą. Gzież tam! W Galicyi, Bukowinie, Dalmacyi tylko $^2/_3$ opłacających podatki wyborców gminnych (a także nauczyciele, urzędnicy, księża) mogą mieć honor zwać się pra-wyborcami. W innych stronach Austyi widzimy to samo z rozmaitymi w każdej prowincyi dodatkami dla uniknięcia monotonii...

W izbach handlowo-przemysłowych prawo głosu mają ich członkowie i ich przedstawiciele, ale w Karyntyi pzzedstawiciele głosować nie mogą (!). Nakoniec głosy wirylne. W Austryi dosyć być biskupem, ażeby zasiadać w sejmie krajowym. Wszyscy, nawet jaśnie wielmożni, muszą być wprzódy wybrani, tylko biskupi i rektorowie uniwersytetów nie troszczą się o tę formalność. W sejmie galicyjskim zasiada ośmiu biskupów. W żadnym z sejmów austryackich niema tyle infuł; w Czechach np. jest ich o połowę mniej, w arcyklerykalnym Tyrolu zasiadają trzej biskupi z głosem wirylnym i czterej reprezentanci opactw i probostw, wybrani na mocy głosowania.

Przedstawiliśmy system wyborów sejmowych w Galicyi i innych prowincyach Przedlitawii. Chaotyczność stosunków uderza w oczy. System reprezentacyjny prowincyj jest hydrą o stu głowach. W wyborach do Rady państwa jest on w całości zachowany z małemi tylko uproszczeniami.

Czegoś oczekiwała, a czegoś bała się strasznie.

Trwoga, niepokój, żal i tęsknota były w jej sercu. Nie mogła oddychać. Wzburzona krew rozsadzała jej piersi.

Widmo bladej twarzy nachyla się nad nią, wciska się w najciaśniejszy zakątek jej pamięci.

Broni się przed niem. Zakrywa oczy. Chowa głowę w poduszki.

Wspomnienia oblegają mózg jej, jak szarańcza. Odpędza je: nie może ich zwalczyć. Uparte, rosną w głowie.

Wstała i na palcach, jakby bała się kogoś spłoszyć, podeszła do komody, otworzyła szufladę, wyjęła pudełko zamknięte na kluczyk. Z pudełka drżącą ręką wyciągnęła fotografię.

Tło jej już wybladło. Cała była pokryta śladami łez, które wygryzły część ubrania i zniszczyły wyraźne dawniej, męzkie rysy.

Przybliżyła się do klęcznika, podniosła małą, czworokątną kartkę w górę do światła zielonej lampki, patrzyła na nią i całowała ją.

W końcu łzy uderzyły jej do oczu. Złożyła ręce. Fotografia ze słabym szelestem padła w fałdy jej sukni.

„*On* musi myśleć o mnie teraz“ — wyszeptała cicho sama do siebie.

Byłaby to powiedziała na cały głos, śmiała, pewna siebie, gdyby nie noc, nie cisza dokoła, którą bała się przerwać.

„*On* myśli o tobie“ — mówiły wszystkie jej pojęcia. „*On* ciebie kocha, tak, jak dawniej, może więcej. Łzy, żal, boleść, tęsknota zdwoiły jego miłość!..“

Podeszła spokojnie do okna, usiadła w fotelu, oparła głowę o poręcz i, bezbronna, zwalczona, oddała się wspomnieniom.

Zamknęła oczy. Dwie łzy spłynęły z nich. Wyraz rozkoszy przemknął po ściągłych jej policzkach.

Ilekroć spuści powieki, gdy myśli o *nim*, czuje pocałunek na ustach tak wyraźny, tak żywy, jak ten, który dawniej odbierała...

Nie, nie chce sobie stwarzać tego sztucznego upojenia.

Otworzyła oczy szeroko i poprawiła się na fotelu.

Zwolna, zastanawiając się nad przeszłością, doszła do pytania:

„Kto zawinił?..“

On był dobry, kochał ją...

Zakryła oczy rękami.

Kociak, przeciągając się, zeszedł ze stołeczka. Podniósł szary łepek, spojrzał na łóżko, potem na klęcznik. Leniwie doszedł do środka pokoju, skoczył na bok przed cieniem szafy, i cicho, bez najmniejszego szelestu, wdrapał się na poręcz fotelu, a potem na kolana swej pani.

Pogłaskała go i doznała pewnej przyjemności, czując pod palcami łagodne ciepło zwierzęce.

Kot zaczął mruczyć jednostajnie, przeciągle.

Wibracya jego głosu uspokajała ją. Nie było już tak pusto i tak cicho dokoła niej.

Wyobrażenia trzeźwiej rysowały się w jej umyśle.

Robiła rachunek sumienia jasny i ścisły.

„Kto zawinił?..“

Dawniej mówiła zawsze *on!*

Teraz wyszeptała: „nietylko *on!*..“

Wyciągnęła ramiona w pustą przestrzeń, jak gdyby *go* chciała objąć niemi w tej chwili.

A nuż wejdzie do niej nagle?..

Spojrzała na drzwi uchylone.

Zdawało jej się, że ktoś niemi poruszył.

Uczuła aż w gardle tętno krwi, napływającej do serca. Wstała, drżąc, jak w febrze. Nogi jej zginały się w kolanach. „Janku mój, Janku!“ — szeptała.

Chwiejąc się, doszła do środka sąsiedniego pokoju.

Ciemno było w nim. Nie dostrzegła nikogo. Bielała tylko pościel na łóżku Matyldy i ręcznik zawieszony nad umywalnią.

Z głośnem łkaniem wróciła i padła zno wu na fotel.

Tyle razy od pięciu lat już spotykał ją taki zawód!.. Tyle razy z rana, w dzień

Odpadają tu np. głosy wirylne, w grupie pierwszej obowiązuje cenzus wyborczy prowincyonalny z tą różnicą, że każdy musi opłacać z ogólnej sumy przynajmniej $^{1}/_{5}$ podatku gruntowego. W wyborach sejmowych tej grupy tylko w Galicyi i Morawii kobiety mogą brać pośrednio udział, w wyborach do Rady państwa prawo to stosuje się do każdej prowincyi. W grupie miast na posła do Rady państwa głosować może każdy, bez względu na koła wyborcze, kto opłaca 5 złr. podatku bezpośredniego. Prawo to istnieje dopiero od r. 1882.

Wyborca głosujący na posła do Rady państwa lub do sejmu, musi mieć ukończonych lat 24, a przed 30 rokiem nie może być posłem. Na Węgrzech głosować mogą dwudziestoletni, wiek poselski poczyna się po ukończeniu 24 lat.

Po tym ogólnym zarysie porównawczym zajmiemy się wyłącznie stosunkami galicyjskimi. W sejmie Galicyi zasiada 151 posłów. Rozdzielają się oni w sposób następujący: 10 wirylnych, 44 z wielkiej posiadłości, 20 z miast, 3 z izb handlowo-przemysłowych i 74 delegatów małej posiadłości. Pomnikowym jest ilościowy stosunek posłów do wyborców. W grupie pierwszej przypada jeden poseł na 51 wyborców. Mnożąc tę liczbę przez 5, okaże się, iż jeden poseł wielkiej posiadłości reprezentuje 255 mieszkańców dworu. Z miast (tylko z 15 okręgów miejskich) wybrany poseł przypada na 19,000 mieszkańców, w gminach miejskich i w reszcie miast i miasteczek jeden poseł reprezentuje 75 tysięcy ludności. Każdy zatem mieszkaniec dworu znaczy tyle, co 76 mieszczan większych miast, lub 300 chłopów i drobnych łyków, każdy zaś mieszczanin wart jest 4 chłopów. W wyborach do Rady państwa na 555 hidalgów galicyjskich wypada jeden delegat, w miastach zaś (23 większych) na 36,000 mieszkańców, a w gminach wiejskich i drobnomiejskich jeden poseł przedstawia w Wiedniu 202 tysiące ludności. Więc każdy z hidalgów niemal 400 razy więcej znaczy od chłopa! Dodać należy, iż wśród 74 posłów gmin wiejskich ogromną większość stanowi szlachta, zawdzięczając swój wybór ciemnocie ludu i protekcyi rządu. Nawet niektóre miasta wybierają posłów z warstwy szlacheckiej.

Na zakończenie — mała uwaga. Oto niechaj nikt z czytelników nie myśli, że w Galicyi przy wyborach do sejmu istnieje głosowanie tajne. Austrya wolną jest od tego przesądu cywilizacyi. Głosuje się tutaj ustnie i jawnie, nie na ucho komisarzowi wyborczemu. Kartek wyborczych nie potrzeba wcale. Jeżeli zaś kto zarzuci, że system ten krępuje swobodę obywatelską, demoralizuje wyborców, uczciwych naraża na szykany ze strony władz rządowych, kliki szlacheckiej itd., że jest potwornym unikatem w parlamentaryzmie całego świata, wówczas odpowiemy mu słowami największego (współczesnego Meternichowi) wstecznika, cesarza Franciszka Józefa I: „Totus mundus stultisat et constitutiones imaginarias querit.“ Austryacka konstytucya jest najlepszą pod słońcem... przewyższa ją chyba tylko japońska.

Chmiel.

ZJAZD ORYENTALISTÓW
w Sztokholmie i Chrystyanii.

II.

W asyryjskich i babilońskich zabytkach klinowych dawno już wyczytano, pomiędzy innemi zagadkowemi nazwami ludów, imiona *Sumer* i *Akkad*. Prócz tego znaleziono tam teksty dwujęzykowe, czy też w dwóch pismach lub alfabetach układane. Jednym z języków jest tam niewątpliwie asyryjski, należący, jak wiadomo, do rodziny semickiej, a więc blizki hebrajskiego i in. Ale jakim jest drugi język? Na to pytanie od lat dwudziestu dwie dawano bardzo od siebie różne odpowiedzi. Hincks pierwszy podobno, około r. 1870, wpadł na domysł, że drugi ów zagadkowy język należy do rodziny turańskiej czyli fińskiej, do której zaliczają się szczepy uralsko-altajskie, więc turcy, węgrzy itd.; zdawało mu się, że owe zagadkowe nazwy plemion Sumer i Akkad oznaczają właśnie pierwotnych turańskich mieszkańców Mezopotamii, podbitych z czasem przez semitów i że dla nich to, obok tekstów semickich, pisano fińskie. Hipoteza ta znalazła uznanie u wielu uczonych. Usiłowano czytać teksty te i objaśniano je wyrazami turańskiemi, szukając ich w słownikach dzisiejszych plemion uralsko-altajskich. Popisano o tem całe tomy, układano słowniki i gramatyki, budowano na tem wnioski dziejowe. We Francyi szczególnie Lenormant *) i Oppert gorliwie dowodzili, a Oppert i dziś go jeszcze broni. Lecz od początku sprawy tej inne grono uczonych wygłaszało zdanie wprost przeciwne. Halévy mianowicie, kolega Opperta, dowodził i dowodzi, że hipoteza jego jest czystem złudzeniem, że o turanach w Chaldei nie może być mowy, że owe teksty zagadkowe są tylko odmianką pisma semickiego, że różnica i istnienie obok siebie dwóch tekstów polega na tem tylko, że jeden jest pisany zwyczajnem, znanem uczonym abecadłem, a drugi pismem obrazowem, w rodzaju hieroglifów egipskich, słowem, że język jest jeden, semicki, tylko wyrażony dwojakim alfabetem, a raczej pismem dwojakiem. Obecnie uczeni europejscy i amerykańscy dzielą się, co do tej sprawy, na dwa obozy: jedni głosują za Oppertem, drudzy za Halévym. Na posiedzeniach sekcyi semickiej zjazdu obecnego dochodziło do żywych utarczek z tego powodu, dlatego szczególnie, że Oppert jest temperamentu kreskiego i zbyt zapalczywie za poglądem swym obstawał. Halévy, spokojniejszy i więcej nad sobą panujący, brał nad nim górę i zyskał na ostatnim zjeździe silną pomoc w dziele Delitscha, który z przeciwnika stał się teraz zwolennikiem jego, podobnie jak i kilku innych uczonych. Spory te profesorów paryskich mocno zajmowały wszystkich członków zjazdu i stanowiły może najbardziej ożywione jego sceny.

Odczyty, po raz pierwszy na tym kongresie, podzielono na dwie kategorye. Wybrano najbardziej interesujące i popularne i niemi zapełniono trzy posiedzenia publiczne i ogólne, dwa w Sztokholmie, a jedno w Chrystyanii. Inne wygłaszano na posiedzeniach sekcyi, „przy drzwiach zamkniętych. Wielu było niezadowolonych z takiego wydzielania osób i przedmiotów; mniemano bowiem, że tą drogą ze zjazdu czysto naukowego uczyniono coś nakształt prelekcyj publicznych. I wogóle ile czynne i osobiste wdanie się króla i dworu dobroczynnem było dla zjazdu z tego względu, że uświetniło jego przebieg, tyle znowu z drugiej strony dało powód do szemrań, bo przyczyniło się do wytworzenia pewnej grupy *Courfähigów*, złożonej z około trzydziestu osób, zapraszanej codzień do zamku i do dygnitarzy na obiady i wieczory, a na końcu zjazdu uwieńczonej orderami i medalami szwedzkimi. Malkontentom zdawało się, że wszyscy członkowie kongresu są równi wobec szerszej publiczności, a tem samem i wobec dworu i że zaszczycanie nie-

*) Porówn. co o tem pisałem w *Bibliotece warszawskiej* 1876, t. I, od str. 574, zdając sprawę z dzieła *La magie chez les Chaldéens* itd.

---

o północy zdawało jej się, że *on* lada chwila wejdzie, stanie przed nią, blady, z drżącemi wargami, bez jednego słowa na ustach...

Ona rzuci mu się na szyję... Przebaczą sobie wszystkie bóle, wszystkie łzy i cierpienia. Będą żyli znowu razem. Tylko już nigdy, nigdy nie zajdzie między nimi nic takiego, coby ich mogło poróżnić!..

Szlochała coraz głośniej. Płacz jej przechodził w rodzaj spazmów.

Podniosła się z fotelu, położyła na łóżku, przycisnęła ręką serce i twarz wgłębiła w poduszki.

Po chwili uspokoiła się trochę. Serce biło powolniej. Łzy mniej napływały do oczu.

Przewróciła się na wznak. Kociak, wskoczywszy do niej, oparł łepek o szyję jej, wyciągnąwszy się cały wzdłuż ramienia.

Nie zrzuciła go. Przyjemnie jej było i ciepło od szarej sierści.

Płomień zielonkawej lampki drgał silnie. Pewnie niedługo zgaśnie.

To lepiej. Woli zupełny zmrok. Blask razi rozpalone powieki.

Jeszcze kilka razy płomyk podskoczył. Zasyczał koniec knota, dopalającego się w resztce oliwy. Światło zgasło.

Śnieg padał w okna gęstymi płatkami. Słychać było szmer ich po szybach tak, jak wtedy...

Usiadła na łóżku. Oparła się plecami o ścianę. Kociak wślizgnął się jej na kolana.

Po raz setny, nie, więcej, może tysiączny od chwili rozstania się z *nim*, zaczęła sobie przypominać każde z kolei słowo, które ich rozłączyło...

Wrócili z teatru.

On już od rana był w kwaśnem, nudnem usposobieniu.

Zdarzało się to nieraz i przedtem, ale nigdy w tym stopniu.

Przy śniadaniu kawa była niedobra. Zawołał ją, prosił, żeby spróbowała i rzekł z przekąsem: „przecież nie do mnie należy pilnowanie tego, aby się śmietanka nie skwasiła...“

Podczas obiadu wskazał plamę na serwecie i dodał swoim angielskim, zimnym tonem: „takich rzeczy nie powinno się kłaść na stół...

Byłaby wolała, żeby ją wybił w tej chwili, a nie mówił takim suchym, oschłym głosem.

Wieczorem wrócili z teatru. Nie mógł znaleźć zapałek ani na biurku u siebie, ani w zapalniczce na ścianie, ani w szufladzie swojej szafki nocnej.

Znowu gderał: „że też nic nigdy na swojem miejscu nie leży, że też ja nigdy do niczego nie mogę trafić...“

Ją już to rozgniewało. Zaczęła mu robić wymówki, prawda, za ostro, za gwałtownie, ale *on* przecież wiedział, że w godzinę byłaby go przeprosiła za to...

Płacz przerwał jej dalszy ciąg wspomnień.

„Tyle łez już wylałam, tyle się nacierpiałam... O, ja nieszczęśliwa, nieszczęśliwa!“— szeptała, po cichu, sama do siebie.

Kot przytulał się do niej, tarł łepek o jej piersi, jak gdyby chciał ją pieścić i pocieszać.

„Czy to nie grzech tak kochać, jak ja kocham?..“

Przez łzy przypomniała sobie wszystkie swoje dawne pieszczoty.

Żal i tęsknota wzbierały w sercu.

„Przebacz *mu*“ — szepnął nagle jakiś głos do niej.

„Wyciągnij pierwsza ręce do *niego*.“ *Jego* życie teraz smutne, złamane. *On* biedny, sam jeden. Kobiety już drugiej nie pokocha, bo kochał tylko ciebie...“

„Przebacz *mu*. Napisz do *niego*...“

(D. n.).

Cecylia Walewska.

których szczególnymi względami naruszało zasadnicze prawa „rzeczypospolitej naukowej.“ Odzywały się głosy, podnoszone już oddawna w publicystyce niemieckiej, żeby uczonych nie odznaczać rangami, tytułami i orderami, a to z tego głównie powodu, że osoby, szafujące temi zaszczytami, nie zawsze są i być mogą kompetentnemi w ocenianiu zasług uczonych, albo też mogą się rządzić pobudkami, nie mającemi nic wspólnego z nauką. To tylko jest rzeczą pewną, że gościnny król szwedzki czynił to w najlepszej wierze i z chęci okazania, jak dalece szanuje wybitniejszych pracowników; jego niewątpliwie o jakieś względy uboczne posądzać nie było żadnej podstawy.

Wracając do treści odczytów i rozpraw, wymienię tu niektóre, aby dać choć przybliżone wyobrażenie o ogromnym zakresie i rozmaitości przedmiotów na zjeździe poruszonych. I tak np. profesor Dillmann złożył początek pracy Bachmanna: Zbiór praw abisyńskich (po łacinie). Prof. Chwolson miał odczyt o syryjsko-nestoryańskich nadpisach grobowych, znalezionych na granicy rusko-chińskiej w okolicach Kuldży. Prof. Bäthgen mówił o poszukiwaniach na wschodzie rękopisu, zawierającego komentarz Teodora z Mopsuesty do ewangelii św. Jana. P. Glaser opowiadał o swych odkryciach archeologicznych w podróży po Arabii południowej. Prof. de Goeje przedstawił wyciągi z pisarzy arabskich o bardzo wczesnych stosunkach handlowych normandów i słowian ze wschodem. Prof. Seippel podzielił się swem odkryciem, że arabowie znali normandów pod nazwą *urmanów*. Pan Van der Lith mówił o podróżach arabów po Indyach w wieku X i XI. Dr. Jäger złożył zbiór przysłów i zagadek asyryjskich. Prof. Sayce miał odczyt o napisach klinowych w Kapadocyi, a prof. Euting o napisach nabatejskich na półwyspie Synai. P. Amélineau mówił o poezyi koptów i czytał niektóre z niej przykłady. P. Leitner udzielił szczegółów o szwargocie plemion koczujących w Indyach oraz tkaczy szalów kaszmirskich i cieśli (mają oni, jak kotlarze cyganie w Anglii, odrębny swój słowniczek techniczny) itd. itd.

Z tej próbki wnieść może czytelnik, jak urozmaiconym był program różnych sekcyi kongresu. Że obejmuje on na dziś zbyt obszerną sferę, to każdy przyzna. Prawie z pewnością wróżyć można, że z czasem rozbije się on na drobniejsze grupy, ułożone nie geograficznie, lecz podług przedmiotów; tak więc mitologowie znajdą się w odrębnem gronie, prawoznawcy wschodu w innem, badacze napisów znowu w innem itd.; dotychczasowy podział, oparty na podstawie geograficznej, nie może zadowolnić wymagań prawdziwie naukowych, gdyż każe zasiadać razem i rozprawiać archeologom z prawoznawcami, lingwistom z etnografami itd. Specyalizacya jest hasłem doby naszej i tymczasem podstawą postępu.

Byłoby niesprawiedliwością i niewdzięcznością z mej strony, gdybym się ograniczył tutaj wzmianką o zagranicznych tylko uczestnikach zjazdu, a nie wspomniał o uczonych i gościnnych skandynawach. Niechże i im dostanie się słów kilka, na które tem bardziej zasługują, że prace ich mało są znane szerszemu światu, jako pisane w językach dla niewielu dostępnych. Wymienię kilku, o których wiem nieco szczegółów lub których poznać miałem sposobność.

Z pomiędzy językoznawców wszechnicy upsalskiej wspomnę Almkvista, autora rozprawy o języku biszarów, plemienia Afryki północno-wschodniej. Fryderyk Fehr, młody jeszcze człowiek, „pastor primarius“ sztokholmski, dawniej profesor hebrajszczyzny w Upsali, tłomacz dzieł Farrara i M. Müllera. Izajasz Tegnér, wnuk znanego poety tegoż imienia i nazwiska, autor licznych prac z zakresu lingwistyki, jak np. rozprawy o wpływie języka na myśl, o napisach klinowych Niniwy i Babilonu itd. Hildebrand, „Riksantikvarie och garde des médailles“ (starożytnik krajowy i dyrektor zbioru medali), autor dzieła o ludzie szwedzkim za pogaństwa i innych. O profesorach Lundellu i Norénie pisałem już gdzieindziej; sympatyczni to i pełni nauki młodzieńcy, którzy pracami swemi dowodzą, że Szwecya nie chce zostać w tyle za postępem Europy.

Wszystko to są szwedzi. Teraz wspomnę o norwegach. Znanem jest w kołach uczonych imię Sofusa Buggego, autora głośnej księgi o bogach skandynawskich; jest on profesorem i wiceprezesem Akademii umiejętności w Chrystyanii. Wymienię jeszcze Blixa, teologa i hebraistę; Casparego, rodem niemca, oddawna osiadłego w Norwegii teologa i wschodoznawcę; wreszcie Friisa, autora słownika lapońskiego.

Przyszły kongres oryentalistów odbyć się ma w r. 1892, lecz gdzie, to postanowi wybrany przez członków komitet, złożony z czterech osób.

Jan Karłowicz.

BADANIA NAUKOWE.

BADANIA NAD DZIEJAMI RODZINY.

W przeciągu dwu ostatnich lat ukazało się kilka dzieł, poświęconych rozpatrzeniu początków rodziny i małżeństwa. O jednem, Karola Letourneau, zdawaliśmy szczegółowo sprawę w łamach *Prawdy*. Inne niewarte były drobiazgowej oceny. Książka Hellwalda jest jedynie wykładem popularyzacyjnym, druga zaś — Starcke'a, lubo wyszła w „Międzynarodowej bibliotece naukowej,“ tak dalece odchyliła się od zdobyczy nauki nowoczesnej, że chyba należy podziwiać odwagę autora. Obecnie przybyła nowa praca Pawła Lacombe, zajmująca się dziejami rodziny rzymskiej *). Mimo że z pozoru wygląda ona na monografię dosyć specyalną, szanuje wszakże na szerszą wzmiankę z wielu powodów. Zresztą zwraca na siebie uwagę nie tyle zdobytymi wynikami, które tu i owdzie są błahe, jakkolwiek autor wykazuje wielką zręczność w rozumowaniu i rzuca ciekawe światło na przeszłość domową Rzymu. Większą wagę posiada metodologiczne stanowisko Lacombe'a. Zwykle bada się Rzym i Heladę z wyłącznego i uprzywilejowanego punktu widzenia. Istnieją one jakby same w sobie, oderwane od reszty ludów i dziejów. Co najwyżej w ostatnich czasach usiłowano porównywać znalezione tu urządzenia ze stanem społecznym u innych aryów, zwłaszcza starohindów i starocranów, lecz tę metodę zastosowano prawie wyłącznie do dziedziny religijno-lingwistycznej. Autor *Rodziny u rzymian* poszedł dalej. W jego rozumieniu dzieje instytucyi rodzinno-małżeńskiej w starożytnym Rzymie są tylko jednym z wyjawów procesu rozwojowego, który mógł odbywać się w wielu punktach globu ziemskiego i, lubo niezależnie, wyłaniał podobne formy. Z tego też powodu, jakkolwiek w założeniu książki leży zbadanie losów rodziny u rzymian od początków historycznych aż do wieku III i dalej, blizko trzecią jej część zajmują rozprawy, niełączące się z właściwym przedmiotem. Mowa tutaj o ludziach dzikich i barbarzyńskich; zwłaszcza dużo poświęcono miejsca patryarchalnej rodzinie chińskiej, która w zasadniczych rysach przedstawia nader silne podobieństwo z rzymską. Kiedy zaś autor przechodzi do właściwego zadania, zobrazowane stosunki są jedynie szczególnem wcieleniem powszechnie obowiązującego prawa rozwojowego w zakresie rodziny i małżeństwa. Przyjrzyjmy się tym ogólnym wywodom Lacombe'a. Zauważymy przedtem, że pod małżeństwem rozumie on nietylko prawne związki płciowe, lecz wszelkie kojarzenia dorywcze i nielegalne, jeśli są one przyjmowane z pobłażliwością przez opinię publiczną.

Autor w ogólnym zarysie nie zgadza się z poglądami Bachofena, jakoby istniało kiedyś kobietowładztwo, lubo nie zaprzecza prawa macierzystego i pierwiastkowego pomieszania. Zresztą, jego zdaniem, ów tak podnoszony często i wspominany bezład pierwotny mógł nigdy nie istnieć w całej przypisywanej mu rozciągłości. Panował on tylko w tem znaczeniu, iż opinia plemienna nie występowała przeciw niemu, jeśli tu i owdzie objawiał się wśród plemieńców. Faktycznie jednak już od początku istniały prawdopodobnie ciaśniejsze koła małżeńsko-rodzinne. Raz mogło przeważać wielożeństwo, to znowu wielomęztwo; czasami znowu zlewały się obie formy w jedną całość. I sam rozwój podążał różnemi ścieżkami. Tu szedł od wielomęztwa do jednomęztwa; owdzie od wielożeństwa kroczył znow ku jednożeństwu; wreszcie mógł także prowadzić od bezładu do grupy jednoparzystej. W większości wszakże wypadków był niezmiernie jednostronnym, ograniczał się bowiem wyłącznie do pojedynczej płci—żeńskiej. Weźmy chociażby obecną rodzinę cywilizowaną. Zowiemy ją monogamią, jakkolwiek jest to w gruncie rzeczy tylko jednomęztwo, tj. zakaz obcowania kobiecie więcej niż z jednym mężczyzną. Opinia publiczna, tak surowa względem niewiernej żony i lubieżnej dziewczyny, zachowuje się zgoła inaczej, kiedy ma przed sobą mężczyznę. Nakazując pierwszej jednomęztwo, pozwala drugiemu na stosowanie wielożeństwa w szerokich rozmiarach, tak, iż ten ostatni, wstępując w prawne związki, tylko wyjątkowo nie jest wielokrotnym małżonkiem w formie nielegalnej. Już to jedno wskazuje, że moralność płciowa nie jest jakimś wrodzonym darem lub dziełem nadziemskich potęg, lecz płodem rozwoju historycznego, przyczem powstawała przeważnie pod knutem i w interesie płci silniejszej. Dotychczas przeważnie, jeśli nie wyłącznie, tylko kobieta posiada wstydliwość odpowiednią; jest to w całem tego słowa znaczeniu wynik hodowli, którą w celach nawskroś samolubnych przeprowadzał mężczyzna. Fakt ten, wciąż występujący w dziejach wszelkiej cywilizacyi, dowodzi wymownie, że rodzina oparta na zwierzchnictwie kobiet posiada względnie mały wpływ historyczny. Przeciwnie rodzinę wielożenną, patryarchalną, należy uważać za górującą w przebiegu dziejowym ludzkości i z tego powodu wartoby więcej uwzględniać prawa jej rozwoju. Odpowiednio z tem zapatrywaniem, Lacombe poświęca sporo miejsca czynnikom, pod wpływem których wielożeństwo ulega ścieśnieniu. W tym rozwoju pobudki uczuciowe i moralne nie odgrywały najmniejszej roli czynnej; przeciwnie, takie zjawiska, jak moralność lub wstydliwość płciowa, miłość małżeńska, ukazują się dopiero jako następstwo dokonanej ewolucyi. Przyczyny natury grubo materyalnej, np. interes ekonomiczny, roztrzygały same. Dość powiedzieć, że historyczna postać rodziny wyszła poniekąd z heteryzmu. Mężczyzna zdobywał kobietę przemocą lub kupnem; dla rodziców, sprzedających córkę, było wszystko jedno, czy sprzedać ją na stałe pojedynczemu mężowi, czy też częściowo kilku przedstawicielom płci męzkiej, póki nie znajdzie się ostateczny nabywca. Heteryzm był tylko inną formą wielożeństwa, powstał z tych samych pobudek i dopiero upadł z upadkiem kupna patryarchalnego.

Niepodobna nam zapuszczać się w wywody socyologa francuskiego co do powodów, które pierwotne wielożeństwo sprowadziły do nałożnictwa, to zaś — do prawnego jednożeństwa, uzupełnionego prze

*) *La famille dans la société romaine.* (Biblioteka antropologiczna).

nierząd pozadomowy. Na razie ważniejsze są jego poglądy względem przekształceń, idących na gruncie z prawnego jednożeństwa a dążących ku zrównaniu męża i żony z jednej, dzieci i rodziców— z drugiej strony. Kobieta-żona w początkach rodziny historycznej ukazuje się jako bydlę juczne męża. „Jeżeli nie będziesz z niej zadowolony, możesz ją odprzedać," — mówi ojciec fidżyjczyk do przyszłego zięcia, kiedy oddaje mu córkę. Z odpowiedniem obliczem niewolnicy żona występuje jeszcze w rodzinie tegoczesnej. Niedawne to czasy, kiedy wieśniak szkocki przyprowadził żonę swoją na rynek, z postronkiem na szyi. Cóż jednakże wydobyło kobietę częściowo z takiego położenia? Jedynie przyczyny natury ekonomicznej. Jak wiadomo już, heteryzm jest tylko odmienną postacią patryarchalnego wielożeństwa przedślubnego. Dziewczę zarabiało, zanim wydano ją za mąż, pewien majątek, a wchodząc do domu mężowskiego, wnosiło niejaką samodzielność. Jeszcze więcej w tym kierunku podziałało powstanie posagu. Jeżeli wojna dawała mężczyznom sporo branek, pokup dziewcząt plemiennych zmniejszał się. W domu ojcowskim zjawia się niewyprzedany towar niewieści, przynoszący zczasem wiele utrapienia; aby się go pozbyć, patryarcha nietylko nie żąda dawnej zapłaty, lecz jeszcze coś daje od siebie. Kobieta wchodzi znowu do domu mężowskiego jako posiadaczka pewnego mienia. Już to wyrabia dla niej lepsze obejście; przytem rodzice troskliwi o cząstkę majątku, nie tracą córki z oczu i śpieszą z pomocą. Wreszcie, w miarę rozwoju społecznego, warstwy niezamożniejsze zostają dzięki niedostatkowi doprowadzone do jednożeństwa; klasy zaś panujące, przywłaszczając sobie przywilej posiadania wielu żon, jednocześnie prawnie uświęcają jednożeństwo plebejuszów, ci zaś drogą oddziaływania z dołu i zazdrości demokratycznej zmuszają zczasem i arystokracyę do poprzestania na jednej prawnej małżonce. Ta ostatnia, rozpoczęszy na gruncie zamożności klasowej życie światowe, po raz pierwszy stworzone przez heterę, sprowadza większą równoprawność w rodzinie. Jeżeli teraz przejdziemy do pytania, jak podążało urównouprawnienie dzieci z rodzicami, zobaczymy, że wśród dzikości wzajemny stosunek kształtował się zależnie od siły mięśniów i wieku; lecz z nastaniem wyższych szczebli ekonomicznych, ustala się nieograniczenie władza ojca, co przewybornie uwidoczniają prawodawstwa rzymskie i chińskie. Wyzwolenie dziecka, tj. syna, odbywa się dopiero pod wpływem wzrastającej potęgi państwowej, która w młodzianie widzi wojownika i z tego powodu chce go uniezależnić.

Na takiem to tle ogólnem Lacombe kreśli dzieje rodziny rzymskiej. Poczęła się ona z trzech form odmiennych z jasnymi dowodami uprawnionego wielożeństwa nałożniczego. Istniało tu najprzód małżeństwo drogą uroczystego kupna (coemptio), następnie inne prawdopodobnie w ten sam sposób powstające, lecz otoczone odpowiednią ceremonią religijną (confarreatio), wreszcie proste roczne współżycie z prawem rozejścia się lub pozostania na rok dalszy (usus). Są to prawdopodobnie trzy postacie, właściwe pierwiastkowo każda jednemu z plemion, z których zlania się powstała społeczność rzymska. Dwie pierwsze czyniły kobietę niewolnicą męża, który miał nad nią prawo życia i śmierci, jako nad nabytym towarem. Mógł ją odnajmować, wypożyczać, jak uczynił sławny Katon, karać śmiercią nawet za to, jeżeli wykazywała pociąg ku trunkom. Trzecia pozostawiała zamężną kobietę w ręku ojca. Dziewczę wydawano za mąż w dwunastym już roku życia. W podobnej zależności moralnej i majątkowej od ojca znajdował się syn. Pierwotny Rzym ukazuje się w tej mierze jako ostatnia krańcowość. Otóż socyolog francuski podejmuje się zbadania, pod jakim wpływem rodzina rzymska z tego stanu początkowego przeszła do rozluźniania małżeńskiego, które spostrzegamy za cesarstwa, kiedy żony zmieniały mężów niemal corocznie i publicznie rzucały się w objęcia histryonów i gladyatorów. Mamy tu do czynienia wprost z zastosowaniem praw, zdobytych w ogólnym przeglądzie dziejów rodziny, do pewnego szczególnego gruntu historycznego. Rozwój polegał mianowicie na wyrugowaniu przez zmienioną trzecią dwóch innych form małżeństwa, a odbywał się pod przeważnym wpływem powstającego posagu i interesu rodzicielskiego, który nie chciał wraz z córką wypuścić z pod dozoru cząstki swego mienia. Trudno krok w krok iść za autorem z powodu braku miejsca. To też zatrzymamy się jedynie nad poszczególnem pytaniem, a mianowicie, dlaczego samorozwój rodzinny w Rzymie, krocząc ku równouprawnieniu kobiety, czego zresztą nie osiągnął, ostatecznie zamienił ognisko domowe na przybytek prostytucyi?

Odpowiednie ustępy w książce są barwnie skreślone i stanowią jej część najważniejszą i najlepiej opracowaną. Autor wprowadza nas w różne, mało znane drobiazgi. Opowiada, jak 2,000—3,000 rodzin stanowi cały Rzym Cezarów, żyjący wśród pasorzytów plebejuszowskich i setek tysięcy niewolników. Zgromadzono tutaj ogromne majątki, zrabowane z dalekich okolic. Posagi wyrosły niepomiernie, z niemi trzecia postać małżeństwa, przy której nie mąż, lecz ojciec pozostawał panem kobiety i mógł w każdej chwili rozwieść ją z mężem, wydać za kogo innego stosownie do widoków i interesów partyjnych lub finansowych. Córka w ostatnich już czasach rzeczypospolitej jest piłką, od lat dwunastu życia rzucaną przez ojca, który jej o wolę nie pyta. Trzecia forma małżeństwa nie wymagała żadnych formalności dla rozwodu i kobieta z śmiercią ojca, wybrawszy dogodnego opiekuna, zaczyna korzystać z tego... A teraz weźmy życie domowe. Obiad zaczyna się około jakiejś 5 popołudniu i ciągnie do późna w nocy. Zawsze są goście — pieczeniarze. Pije się dużo, słucha się muzyki. Tancerki odbywają wszeteczne tańce z odpowiedniemi pieśniami, niewolnicy pantominami wymownemi przedstawiają wypadki w rodzaju przygody Ledy z łabędziem, biesiadnicy w obliczu wszystkich załatwiają najskrytsze potrzeby organizmu. Woń pachnideł, atmosfera gorąca, ogólne pijaństwo. Współbiesiadnicy leżą na sofach dokoła stołu, po kilku na jednej, mężczyźni obok kobiet. Ubranie rzymskie obnaża obie płcie; kobieta ma na sobie szatę, która odpowiada długiej koszuli. Ręce jej, nogi i piersi są obnażone... Przy pijaństwie, pod wpływem tańców i pantomin, mąż wobec gości posuwa się do wszystkiego... Jest to obraz codzienny. W domu znowu wśród niewolników znajdują się młodzieńcy z najpiękniejszych ras i wykształceni: artyści, muzycy itd., przebywający wciąż z kobietami domu, które często nie czują żadnej skłonności ku mężom i są przyzuczone przez widoki obiadowe do wszelkich scen lubieżnych... Dzieci, wychowane przez niewolników, od młodości przechodzą przez piekło rozpusty i na ucztach codziennych przyglądają się nienaturalnemu nawet zaspakajaniu chuci płciowej—itd. Słowem, życie rodzinne złożyło się w ten sposób, iż rzymianin musiał dojść do rozpusty bez granic — zarówno w zakresie płci obu. Wszystko to zaś było bezpośredniem następstwem zaborów, które z jednej strony zgromadziły bogactwo i wykształconych niewolników, przyuczyły obywatelów do próżniactwa, pijaństwa i obrazów wszetecznych, z drugiej zaś wytworzyły ciągłą walkę interesów partyjnych, w której ojcowie użyli córek, jako piłki, do rzucania ich w tub inne objęcia, stosownie do widoków. Ziarno to wojennego dobytku padło na sprzyjający grunt — późnego obiadowania i półnagiego przyodziewku... Aby Rzym nie rozprzęgł się w rozpuście płciowej, potrzeba było, ażeby pozostał był drobnem państwem niezaborczem lub iżby toczył wojny, lecz nigdy nie doznając pokoju. Zwycięzkie zabory z rozłożeniem nieszczęśliwem godzin posiłku zabiły Romę...

Zasługuje na uwagę zakończenie *Rodziny u rzymian.* Autor wykazuje w toku dzieła, że czynniki materyalno-ekonomiczne były przyczyną wszystkich zmian w ukształtowaniu rodziny, i z tego powodu wnioskuje, że dzieje ekonomiczne są podstawą wszelkiego przebiegu historycznego i kluczem do wszystkich przejść innych. „Stronę ekonomiczną należy zbadać przedewszystkiem, bez względu na to, czy chodzi o zrozumienie historyi powszechnej, czy też jakiegoś szczególnego narodu. Właściwości ekonomiczne ludu rzucają światło zgoła odmienne niż rozwój literatury i kultów; te ostatnie są cennemi wskazówkami, lecz powierzchownemi, ponieważ nie mogą głęboko wszczepić się w serce ludzkie i ustępują przed najmniejszą potrzebą ekonomiczną. Jest to błędem grubym, kiedy się mniema, że najszlachetniejsze strony człowieka odgrywają w historyi największą rolę..."

Ludwik Krzywicki.

PSYCHOLOGIA.

H. Höffding: *Psychologie in Umrissen auf Grundlage der Erfahrung.*

Brak dzieł popularnych z dziedziny psychologii doświadczalnej do niedawna jeszcze dotkliwie dawał się uczuwać. Ludzie wykształceni, ale niemający ani czasu, ani potrzebnego przygotowania do dzieł obszernych i ściśle naukowych, nie mogąc się dowiedzieć o dokonanym przewrocie w psychologii, zmuszeni byli albo zadawalać się tradycyjnemi pojęciami o naturze zjawisk duchowych, albo poprzestawać na luźnych, niepowiązanych z sobą wiadomostkach, które, będąc źle zrozumianemi, najfałszywe dawały pojęcia o obecnem stanowisku wiedzy. W obu tych wypadkach skutek był ten, że nowe poglądy na życie i jego zadania, nowe dążności dla bardzo wielu były zagadką, która dla wyznawców spirytualizmu przybierała na się postać zmory, zagrażającej wszystkiemu, co jest piękne i zacne, dla innych zaś była uświęceniem ich fantastycznych zapatrywań, a nierzadko i dążności, które z nowem pojmowaniem życia i usiłowaniami ludzkości nie miały nic wspólnego.

Obecnie nie można już uskarżać się na brak dzieł, z których w sposób przystępny można zasięgnąć dokładnych wiadomości o ostatnich wynikach psychologii doświadczalnej; dzisiaj każdy, kto zna jeden z trzech głównych języków europejskich, może łatwo obeznać się z jej zagadnieniami, a wyrobiwszy sobie należyte pojęcie o prawach, rządzących sprawami duchowemi, stanąć na stanowisku człowieka, który umie odczuć tętno ludzkości i zdać sobie sprawę z tego, co się w koło niego dzieje i w jakim kierunku postępować winien. Nie ulega bowiem wątpliwości, że jakiekolwiek są przyczyny wypadków dziejowych, pierwszym warunkiem ich zrozumienia jest znajomość natury ludzkiej, jej potrzeb materyalnych i duchowych, praw, jakim podlegają w swym rozwoju myślenie, uczucie i wola.

Pomiędzy dziełami, przeznaczonemi dla szerszego ogółu, jakie się ukazały podczas ostatnich lat w dziedzinie psychologii doświadczalnej, najważniejszemi są następujące: *Outlines of Psychology* Sullego; *La psychologie physiologique* Sergiego i dzieło Höffdinga, którego tytuł wypisany jest w nagłówku niniejszego artykułu.

O pracach Sullego i Sergiego *Prawda* podawała była w swoim czasie krótkie

sprawozdania. Odsyłając więc tam ciekawego czytelnika, zajmę się tu wyłącznie psychologią Höffdinga. Nie mam zamiaru wdawać się w szczegółowy jej rozbiór. Poprzestanę tylko na zaznaczeniu jej stanowiska i wykazaniu zalet, które czynią z niej książkę pożądaną dla każdego, kto pragnie w sposób łatwy i przyjemny nabyć dokładne wiadomości z nauki trudnej, wymagającej pewnego przygotowania i nierzadko dość suchej z powodu samej natury swego przedmiotu.

Stanowisko swe określa autor w sposób następujący:

„Psychologię pojmujemy, jako naukę o tem, co myśli, czuje i chce, w przeciwieństwie do fizyki, która jest nauką o tem, co wypełnia przestrzeń i w niej porusza się. W zakresie dwóch tych nauk zawiera się wszystko, co może być przedmiotem ludzkiego badania. Jak fizyka bynajmniej nie jest zmuszona zaraz na samym początku dawać odpowiedź na pytanie, czem jest materya, tak również psychologia może się powstrzymać od wszelkich wyjaśnień, dotyczących istoty duszy. W ten sposób pojmując swe zadanie, nie zaprząta się wcale zagadnieniem, czy dusza jest bytem samodzielnym, niezależnym od materyi, czy nie. Z tego stanowiska zapatrując się na psychologię, uważamy za swój obowiązek trzymać się jaknajściślej gruntu doświadczalnego i nigdy nie zapominać o różnicy, jaka zachodzi między danemi nauki, a jej hipotezami, któremi ona o tyle tylko winna się posługiwać, o ile to jest koniecznem dla uporządkowania faktów i ich zrozumienia."

Przyznać należy, że z tak zakreślonego stanowiska autor w żadnym wypadku nie dał się sprowadzić i wobec najsilniejszych pokus umiał powściągnąć krewki pośpiech myślenia w braniu za pewnik naukowy tego, co jest tylko przypuszczeniem, opartem na prawdopodobieństwie. Owa trzeźwość w odróżnianiu tego, co jest pewnem, a co niepewnem, stanowi najważniejszą zaletę dzieła Höffdinga. Nie mniejszą jest także umiejętne uporządkowanie materyału, który, pomimo wielkiego bogactwa szczegółów, nie nastręcza czytelnikowi niezwykłych trudności w oryentowaniu się i ogarnianiu całości.

O układzie tej książki i o bogactwie zawartego w niej materyału najlepsze da wyobrażenie spis rozdziałów:

I. Przedmiot i metoda psychologii. II. Dusza i ciało. III. Świadomość i sprawy bezwiedne. IV. Podział pierwiastków psychicznych. V. Psychologia poznania: a) czucie, b) wyobrażenie, c) postrzeżenie czasu i przestrzeni, d) postrzeżenie oczywistości. VI. Psychologia uczucia: a) uczucie i czucia zmysłowe, b) uczucie i wyobrażenie, c) uczucia egoistyczne i sympatyczne, d) fizyologia i biologia uczucia, e) prawo względności w odniesieniu do uczuć, f) wpływ uczucia na poznanie. VII. Psychologia woli: a) początek woli, b) wola i jej stosunek do innych pierwiastków świadomości, c) charakter indywidualny.

Do powyższych zalet dodać należy jasność wykładu, polegającą na ścisłości określeń i na uprzystępnieniu abstrakcyjnych wywodów za pomocą trafnie dobranych przykładów; a nareszcie styl pełen życia i wdzięku, chociaż wolny od deklamacyi i niepotrzebnej retoryki, zaciemniających najczęściej wątek myśli *).

*) Podobno praca Höffdinga ma wyjść w przekładzie polskim. *Red.*

Władysław Kozłowski.

LITERATURA I SZTUKA.

GEOGRAFIA
(według J. K. Plebańskiego).

II.

Co do drugiego, to znaczy ni mniej ni więcej tylko, że „najdoświadczeńsi pedagogowie" domagają się „stanowczo i jednomyślnie," aby do szkoły nie dopuścić myślenia! Piękni pedagogowie — „wir kennen unsere Papenheimer"! Ale zobaczmy znów, jakby wtedy wyglądała geografia. Bezwątpienia po nad wszystkie zagadnienia naukowe i hipotezy maximum szkodliwości dla szkoły przedstawia według p. Pleb. i „najdoświadczeńszych pedagogów" teorya ewolucyjna, w szczególności darwinizm; a jednak jeżeli p. Pleb. „hipotezy" tej „jednomyślnie i stanowczo" nie dopuści do szkoły, to nie będzie w stanie wyjaśnić faktu, że np. w Australii przechowały się do naszych czasów twory ubiegłej epoki geologicznej; że np. zwierzęta Nowego świata są drobniejsze od Starego itp. lub też będzie wyjaśniał takie fakty zupełnie fałszywie. Tak np. ostatni fakt tłomaczy p. Pleb. wspólnie z „prof. Stauberem" większą wilgotnością Nowego świata; tymczasem któryś ze sprytniejszych malców zainterpelowałby pewno profesorów Plebańskiego i Staubera: „panie profesórze wszakże w Indyach, mianowicie w Bengalii jest wilgotniej niż w Ameryce, a jednak znajdujemy w Bengalii największe ze zwierząt ssących słonia i najstraszliwszego z drapieżców, tygrysa?" Zarzutu tego nie zdoła odeprzeć prof. P. nawet z prof. Stauberem, Leopoldem II, areopagiem belgijskich geografów i pocztem mianowanych i chwalonych przez siebie geografów polskich. „Najdoświadczeńszy pedagog" nie będzie więc miał innego wyjścia z kłopotliwego położenia jak na interpelacyę malca odpowiedzieć: „cicho smarkaczu, w szkole nie wolno myśleć": „*rozumowanie* mrozi duszę każdej szlachetniejszej istoty młodzieńczej" (prof. Pleb.!).

Podobnież niebezpieczne dla szkoły według „najdoświadczeńszych pedagogów" jest „zagadnienie" o zależności człowieka od przyrody; to też prof. Pleb. skwapliwie powtarza za prof. Stauberem wątpliwości Ratzla w tym względzie, który uważa, iż wpływy przyrody są bezsilne wobec „woli" ludzkiej. Ratzel na poparcie swych wątpliwości przytacza (za nim prof. Stauber, a za Stauberem prof. Pleb.), że np. dorowie nie wybrali dogodniejszej drogi przez przesmyk Koryncki, lecz przeprawili się przez zatokę Koryncką; a hunnowie, zamiast przebyć Don, przeprawili się przez cieśninę Kerczeńską (p. Pleb. używa nieokreślonego wyrażenia „ramię" morza Azowskiego). *Naprzód co do ogólnej zasadniczej strony tej kwestyi*, to tak Ratzel, jak i jego naśladowcy grzeszą uważaniem „woli" za coś absolutnego, gdy tymczasem należałoby się zastanowić nad genezą siły lub słabością woli u pewnego narodu i dojść po łańcuchu związków do ogniwa podstawowego, tkwiącego w warunkach geograficznych. Poprzestawać w wyjaśnieniu zjawiska na pojęciu „woli," jest to stać na stanowisku umysłowości animistycznej człowieka pierwotnego, który dla objaśnienia każdego zjawiska przypuszcza siedzącego w nim ducha — przyczynę: „dlaczego ryż uwiądł?", „dusza zeń uleciała"; „dlaczego tabakierka gra?", „dusza w niej siedzi" itp. *Powtóre co do przytoczonych dwóch powyższych faktów*, to nie przedstawiają one bynajmniej żadnych trudności dla objaśnienia bezpośrednio geograficznymi warunkami. Gdybym był historykiem, jak prof. Pleb., to wiedziałbym, że dorowie wyparci z Tessalii musieli szukać nowych siedzib na południu, Doryda była dla nich za ciasna, Beocya była zajęta przed tem przez arneów, którzy niepokoili wojnami wschodnią część Grecyi środkowej *), dorowie więc musieli dążyć do Peloponezu; a że obrali drogę przez zatokę Koryncką, nie przez przesmyk, to bynajmniej nie pomimo to, że droga przez zatokę była niedogodniejsza, jak to prof. Pleb. sądzi, lecz dlatego właśnie, że była najdogodniejsza; albowiem 1-o. była krótsza niż droga przez przesmyk, o czem jeden rzut oka na mapę mógł był prof. Pleb. pouczyć; 2-o. droga do przesmyku prowadziła przez kraj niepokojony wojnami, droga zaś do zatoki — przez kraj sprzymierzonych z dorami etolczyków; 3-o. zatoka posiada silne zwężenie Rhion i tędy nastąpiła przeprawa. Tak więc twierdzenie, że przeprawa dorów sprzeciwia się prawom geograficznym i była rezultatem ich wolnej silnej woli, jest tego samego gatunku, co np. twierdzenie, że przeprawa ludów półwyspu Pirenejskiego do Afryki przez cieśninę Gibraltarską sprzeciwia się prawom geograficznym, ponieważ ludy te dogodniej mogły się dostać do tej części świata nogą suchą przez przesmyki Kaukaski i Sueski! Dla hunnów znowu, mieszkających u południowego rogu morza Azowskiego **), drogą do nęcącej bogactwem Taurydy dogodniejszą była przez wązką cieśninę, niż dokoła morza Azowskiego; a to tembardziej, że w tej długiej drodze okolnej nie uniknęliby również przeprawy, napotykając Don i inne rzeki pomniejsze. To też geografom wiadomo, że wzdłuż pasów ziemi, oddzielających zatoki od morza (np. mierzeja Kurońska) idą zwykle drogi z przeprawą przez cieśninę, gdyż taka droga jest krótsza i napotyka jedną przeprawę, podczas gdy przy okrążaniu zatoki droga nietylko jest dłuższa, lecz spotyka liczne przeprawy przez wszystkie rzeki, uchodzące do zatoki. Tak więc jak dorowie tak hunnowie przeprawiali się przez największe zwężenia zatok, unikając dłuższych i niedogodniejszych dróg okolnych; oba zatem fakta powyższe, przytaczane na zbicie zależności objawów dziejowych od warunków geograficznych, są raczej świetnem tej zależności stwierdzeniem! Ratzel, jakkolwiek jeden z lepszych geografów niemieckich, wziął te rzeczy zbyt powierzchownie i niestety znalazł w pedagogach „dojrzałych," profesorach, Stauberze i Plebańskim, zbyt „pochopnych" naśladowców.

W metodyce geografii nie podoba się profesorowi P. wyraz metoda „poglądowa" i zastępuje go lepszym: metoda „unaoczniająca;" dziękujemy! Możemy zaręczyć p. Pl., że choćby nawet zdołał zgromadzić najbardziej przekonywające dowody, że jego wyrażenie jest lepsze, to jednak nie znajdzie ono praw obywatelstwa z tego prostego powodu, że jak słusznie zauważył Spencer (*Wstęp do socyologii*): „dogodność symbolów słownych jest ważniejszą niż prawowitość ich pochodzenia." W dalszym ciągu prof. Pleb. oskarża metodę poglądową o wyrabianie „arogancyi i pochopności sądu." Doprawdy, znamy ludzi, którzy ani się według tej metody uczyli, ani są jej zwolennikami, owszem powstają przeciw niej zajadle, a jednak mogliby służyć za wzór „arogancyi i pochopności sądu" i to do tego stopnia, że sami nie pracując na polu pewnej nauki, piszą artykuły o najprzeróżniejszych kwestyach, o których nie mają wyobrażenia; nie dość na tem: śmią jeszcze zawistnie potępiać wieloletnią sumienną pracę innych bez żadnych argumentów, siłą samej tylko arogancyi!

A propos oceniania prac innych. Prof. Pleb., stojący w takiej sprzeczności z abecadłem nauki geograficznej, lecz „zadufany" w powagę, jaką ma śród naszej prasy, usiłuje w całej swej pracy za pomocą bądź imiennych bądź bezimiennych wycieczek

*) Ob. W. Oncken. *Allgemeine Geschichte.* (Hertzberg. *Geschichte von Hellas und Rom*, I. s. 28 i nast.).

**) Ob. Wietersheim-Dahn. *Geschichte der Völkerwanderung*, II. s. 25.

zdyskredytować prace innych autorów, którzy nie mieli szczęścia zyskać jego względów. Tak np. mapę Królestwa Polskiego p. Woycickiej, która nietylko zgromadziła olbrzymi materyał, ale i uobrazowała go w sposób wrażający się w umysł, nazywa p. Pleb. „niefortunną.“ Dlaczego? A cóż to pana Pleb. obchodzi: jemu się nie podoba to dość, „sic volo, sic jubeo“! Gdyby taką mapę wykonał „prof. Stauber,“ a Leopold II pochwalił i dał 25,000 franków, wtedy mapa ta byłaby znakomita! P. Pleb., mówiąc o naszych dawnych podręcznikach do geografii zarzuca im, że „zanadto rozumowały“ (!), biorąc wyraz „rozumowały“ w cudzysłów. Nie podobna naturalnie, ażeby tu p. Pleb. miał rzeczywiście na myśli dawne podręczniki: takim Ansartom, Czarkowskim, Kołodzińskim nie podobna przecież zarzucać zbytku rozumowania; poprostu p. Pleb. pod maską „dawnych podręczników“ chciał potępić moją *Geografię rozumową*; mówi więc p. Pleb., że „rozumowały bez znajomości metody i systemu naukowego co do ładu i porządku samego wykładu pozbawionego ciepła i zapału pedagogicznego... mrożącego umysł i duszę każdej szlachetniejszej istoty młodzieńczej.“ Zdanie to już samo z siebie jest tak śmieszne, że czyni zbytecznem zadawanie sobie trudu polemiki; a cóż dopiero gdy się zdanie to zestawi z tą gruntownością, z jaką p. Pleb. wykazał swą nieznajomość abecadła geografii; z tem „ciepłem pedagogicznem,“ jakie wyraża się w jego dbałości o pożytek *Encyklopedyi wychowawczej*; z tą „szlachetnością,“ z jaką, nie mogąc zgryść cudzej pracy, kopie pod nią dołki ufny, że uda mu się to wobec nizkiego stanu wiedzy geograficznej śród naszego ogółu. O naszym artykule „Polska“ (*Słownik geograficzny*) p. Pl. twierdzi, że jest „pełen dziwacznych opinii i poglądów, nienależących do geografii, że mija się całkowicie z zadaniem pracy geograficznej“ itd., a zaraz dalej czyni przeciwstawienie, że bardzo pożądaną byłoby rzeczą, aby badacz przygotowany naukowo (nie jakiś tam „niedojrzały“) na podstawie materyałów zebranych przez *Pamiętnik fizyograficzny* itd. dał nam obraz naszego kraju według warunków układu poziomego, pionowego, oro- i hydrograficznych, klimatologicznych itd.

Ponieważ praca moja była właśnie zastosowaniem najnowszych metod geografii umiejętnej do materyałów zebranych tak przez *Pamiętnik fizyograficzny* jako też *Sprawozdania komisyi fizyogr.* oraz najpoważniejsze prace niemieckie. Ponieważ dalej kategorye postulatu p. Pleb., które przeciwstawia mej pracy, są żywcem z tej pracy wyjęte, więc tutaj już kwestya schodzi z pola nauki na pole etyki; mam prawo zapytać kategorycznie p. Pleb. w imię już nie nauki, ale prostej uczciwości literackiej i obywatelskiej, co znaczy powyższe przeciwstawienie i gdzie p. Pleb. ma argumenty, że praca powyższa nie należy do geografii, że mija się z zadaniem pracy geograficznej??

Mógłbym tu jeszcze wspomnieć o insynuacyi zwróconej przez p. Pleb. przeciw mnie z powodu atlasu Iljina; ale na to nic nie odpowiem, „nie — że język mój ubogi,“ lecz że — pan Plebański znajdzie na to godną odpowiedź w *Przedświcie*.

Taki jest duch pracy p. Pleb. pod względem „znajomości metody,“ pod względem „ciepła pedagogicznego“ i pod względem „szlachetności.“

A teraz parę słów o formie; albo zamiast mówić o niej, przytoczę parę wymownych wyjątków.

Na str. 399: „Położenie albo (?) układ poziomy danej przestrzeni w jej wizerunku zewnętrznym (czy istnieje układ poziomy w wizerunku wewnętrznym? Ref.) z uwzględnieniem jej położenia (więc: położenie z uwzględnieniem położenia Ref.) oraz stanowiska, jakie ona zajmuje we wszechświecie; szerokość bowiem geograficzna, w której jest położona, rozmiary jej długości i szerokości poziomej, niemniej położenie we wszechświecie (położenie krainy we wszechświecie, Ref.), to wszystko tworzy grunt podstawowy“ itd. — dodałbym od siebie — do zupełnego obałamucenia czytelnika!

Na str. 400: „Elementarne siły mas pionowych to podnoszą, to obniżają, to rozrywają układ form poziomych“ (obniżanie układu form poziomych! — co to znaczy? Ref.). Do warunków poziomych zalicza p. Pleb. „płaskowzgórza z nadobnemi (?) nizinami, doliny“ (co to wszystko znaczy? Ref.). Wiadomo przecież uczniom pierwszej klasy, że układ poziomy dostrzegamy, patrząc z góry na kraj dany; w jaki więc sposób p. Pleb., patrząc z góry (a zwykle patrzy z góry!), może dostrzedz ukształtowanie powierzchni bądź tak nadobne, jak prace „najdoświadczeńszych pedagogów,“ bądź tak „szpetne,“ jak prace „niedojrzałych.“ Gdyby nawet „nadobne“ było myłką druku zamiast „nadbrzeżne,“ to i tak nie wiele więcej będzie sensu w całem zdaniu. Podobnież niema żadnego sensu w wyrażeniu: „skamieniałości z dalekich wyżyn stoczone zmieniły fizyognomię krajów nadwiślańskich“ (??), bo tu zapewne p. Pleb. wziął kamienie erratyczne za skamieniałości! Słynne też jest pod względem jasności określenie planiglobów (str. 461).

Wogóle w artykule prof. Pleb. spotykamy niezliczoną ilość nieścisłych definicyi, niejasnych twierdzeń, nielogicznych zestawień (jak np. „fakta klimatyczne i fizyczne,“ „warunki telluryczne i fizyczne“ itp.), błędów nieuwagi (np. określenie oceanografii jako nauki o źródłach, rzekach, jeziorach, zaliczenie etnografii do litosferologii, biegunów do linii! str. 397 itd.; dalej takie dane jak: Rosya europejska ma dwa razy tyle mieszkańców, co Afryka, a Francya dwa razy tyle, co Włochy!), błędnych informacyi bibliograficznych i innych (np. wymienienie dzieł podróżników niemieckich Nachtigala i Schweinfurtha jako francuskich, tłomaczonych z angielskiego; umieszczanie niemieckich profesorów geografii w tych uniwersytetach, w których oni już oddawna nie wykładają, np. Wagnera w Królewcu, Krümmla w Getyndze); wreszcie błędów korektorskich, jak np. że przylądek Buru leży pod 114° szer. pn.! Zresztą znaczna ilość podobnych błędów w zestawieniu z naturą, rozbieranych przez nas poprzednio, budzi silne podejrzenie, że i te, na końcu wymienione, nie są to jedynie błędy nieuwagi, pośpiechu lub korekty, lecz błędy „niepospolicie gruntownej“—ignorancyi.

I to jest praca, która ma pretensyę do „informowania nauczycieli geografii“! Kogóż ma ona informować, czy rzeczywiście nas, nauczycieli? Ależ my nie mamy czasu na rozrywki humorystyczne! czy tych, co mają jakie takie początki tej nauki? chyba także nie; więc tych, co się na geografii zupełnie nie znają? Znowu chyba nie, bo choćby nie dostali oni nawet zawrotu głowy od różnych litosferologii, geistyk, elementarnych sił mas pionowych itd. itd., choćby to wszystko zdołali nawet sobie przyswoić, to byłoby to tem gorzej dla nich. Nie przesadzę więc chyba, gdy powiem, że artykuł prof. Pleb., jakkolwiek uznany przez reporterów za „niepospolicie gruntowny,“ *mija się całkowicie z zadaniem pracy geograficznej* nietylko w *Encyklopedyi*, ale w każdym piśmie, które postanowiło sumiennie służyć sprawie publicznej, pożytecznie informować; że artykuł ten jest, słowem, zupełnie chybiony i jako taki powinien być w interesie odbiorców *Encyklopedyi* wycofany z obiegu.

Zdania tego nie zmienię póki mi p. Pleb. nie dowiedzie, że biegun jest linią, że zwrotnik jest stały, że mapa Merkatora przedstawia całą ziemię w jednem kole, że kula może być płaska, że linia (południk) może mieć szerokość, że skamieniałości zmieniły fizyognomię krain nadwiślańskich itd. itd. A że p. Pleb. tego wszystkiego nie dowiedzie póki świat światem, a przynajmniej póki ludzie rodzić się będą z mózgami mniej więcej normalnymi, więc zdanie moje posiada niejakie widoki trwałości.

Smutny to doprawdy nad wyraz objaw, że u nas do wydawnictw najpoważniejszych pod względem naukowym, a najdonioślejszych pod obywatelskim wciskają się prace, za które wobec przyszłego historyka naszej umysłowości wstydzić się będziemy musieli!..

To też nie możemy jak tylko przyklasnąć redaktorowi *Biblioteki warszawskiej*, że na każdej prawie karcie tego wydawnictwa oraz w *Encyklopedyi wychowawczej* występuje ostro przeciw wciąż rozwielmożniającym się u nas: „arogancyi, dyletantyzmowi i niedojrzałości naukowej w geografii...“

Po przeczytaniu omawianego artykułu profesora Pleb. przekonaliśmy się jaknajgruntowniej o słuszności tych ciągłych nawoływań redaktora *Biblioteki*, a zarazem niestety o ich zupełnej w danym razie bezskuteczności. Bezskuteczność ta, zdaniem naszem, wynikła stąd, że szanowny redaktor *Biblioteki* zapomniał o zastosowaniu starodawnej złotej zasady: *medice cura te ipsum!*

Wacław Nałkowski.

Z NAD DUNAJU.

Opera Smareglego. — Nowe pismo ilustrowane. — *Unsere Kunst.*

Sezon teatralny rozkwitł w pełni. Sprzyja mu pora, w której ani koncerty, ani zabawy tańcowe jeszcze się nie rozpoczęły; tylko wyścigi, widowisko wielce tu popularne, współzawodniczą z teatrami. Nowość następuje po nowości. Opera nadworna zdecydowała się na krok dość niezwykły: wystawiła pierwszą pracę młodego kompozytora, Antoniego Smareglii „Der Vasal von Szigeth.“ Nie oznacza ona żadnego w muzyce postępu i łączy kierunek Wagnera z kanonem dawniejszych kompozytorów włoskich. Młody kompozytor okazał więcej smaku, aniżeli oryginalności. Zdumiewa dojrzałością instrumentacyi; harfami i fletami osiąga czasem efekty wielkiej piękności. Treść libretta nad wyraz nędznego, mimo iż zręczny Max Kalbeck przełożył je z włoskiego, dała sprawozdawcom wiedeńskim sposobność do legionu dowcipów. Jeden z dzienników nazwał operę „moszusem.“ Istotnie bowiem ten silnie działający środek odgrywa w osnowie główną rolę. Pewien udzielny pan węgierski zbezcześcił żonę swego lennika, słynnego alchemisty, który mści się po śmierci wojewody na jego synach, używając płynów czarodziejskich. Rozkochuje najpierw brata młodszego w Nai, uroczej narzeczonej starszego. Naję oszałamia przed ślubem, tak, iż w kościele wpada ona w letarg. Wszyscy uważają ją za zmarłą i pozostawiają w grobowcu rodzinnym. Wówczas zbliża się do niej brat młodszy i przepędza z nią noc ślubną, poczem uprowadza ją do swego zamku. Atoli „moszus“ przestaje działać, Naja poznaje, że została kochanką brata młodszego. Tymczasem do starszego, w głębokiej pogrążonego żałobie, zbliża się podstępny lennik z zapewnieniem, że Naja żyje; młodzieniec wierny mu wypuszcza Naję, która przybywa na scenę, poznaje narzeczonego i opowiada mu doznaną krzywdę. W trzecim akcie biedna Naja postanawia zakończyć swe życie pod wpływem zręcznych słów lennika, podającego jej flakonik z trucizną, w którą zawsze jest zaopatrzony. Zażywa ona dawkę, która czyni jej śmierć niechybną, pozwala jej jednak śpiewać jeszcze pół godziny wśród mąk straszliwych. U łoża jej śmiertelnego scho

dzą się bracia, starszy oszukany zabija młodszego, uwodziciela, a następnie samego siebie. Lennik zaś głębokim basem wyjaśnia publiczności całą sprawę i zwiastuje swój tryumf zupełny.

Tańce węgierskie, melodye włoskie, wspaniałe dekoracye i kostiumy wiele operze tej dodają powabu. Arcydziełem techniki scenicznej jest widzenie miłosne w pierwszym akcie, spowodowane zbytkiem eliksiru: na barwnych obłokach Wenera w muszli płynie po morzu, w otoczeniu najad, nimf i trytonów. Rolę Nai śpiewała panna Beetówna, rodaczka nasza, która stałem cieszy się powodzeniem u publiczności i krytyki.

Z wielką reklamą rozpoczęło żywot swój nowe pismo ilustrowane *Die Illustration*. Zawiera ono mnóstwo reprodukcyj barwnych, chemigrafów i fototypów. Treść, złożona z powieści i nowel, na uwagę nie zasługuje. Ilustracye zadowolić mogą tylko smak grubszy i nie stoją na wyżynie sztuki wiedeńskiej, która i w tym dziale skończone już wydała twory. Właściwością tego pisma będą wielkie ilustracye z życia wiedeńskiego, skupiające portrety wybitnych osobistości. W numerze pierwszym przedstawioną jest chwila „Po koncercie filharmonistów“; widzimy na stopniu konserwatoryum hr. Taaffego, Billrotha, Sonnenthala, Kremera, Grünfelda, wśród tłumu eleganckiego i typowych twarzy lokajskich.

O wiele godniej reprezentuje sztukę austro-węgierską wielkie dzieło ilustrowane, które pojawia się obecnie zeszytami, p. t. *Unsere Kunst in Wort und Bild*. Obok krótkich, zajmujących szkiców literackich i autogramów autorów znanych, dzieło to zawrze 300 portretów, przeszło 100 oryginalnych rysunków mistrzów lepszych i 50 kompozycyj muzycznych. Autogramów będzie około 600. Wytworność papieru, druku i ozdób tego dzieła odpowiada jego przeznaczeniu: reprezentowaniu sztuki austro-węgierskiej wobec zagranicy.

Stwosz.

LITERATURA FRANCUSKA.

Paryż, 20 października.

Jubileusz, wystawa, polityka i literatura. — *Le Disciple* Bourgeta i *Un homme libre* Barrès'a. — Zwrot w kierunku mistycznym: Stanisław Guaïta, Schuré, Peladan, Hennique. — Kongres spirytystów w Paryżu.

Powiadają, że *inter arma silent musae*, muzy jednak wieszają swe gęślo na kołku nietylko w czasie przygotowań wojennych i szczęku oręża, lecz milkną również przy odgłosie bębnów i trąb, ogłaszających wielkie historyczne rocznice lub towarzyszących jubileuszowym wystawom i uroczystościom. W takich chwilach napisze jakaś mało dotąd znana pani Holmes *Odę tryumfalną*, jak tym razem, na cześć Rzeczypospolitej, powstanie „Marsylianka,“ lub inny jaki marsz, literatura jednak właściwa i sztuka, niedekoracyjna i stroniąca od hymnów, zalega odłogiem.

Pora jednak jubileuszowa i wystawowa ma się już we Francyi ku schyłkowi. Za parę tygodni wspomnienia już tylko, zamiast tłumów, krążyć będą po pustem Polu Marsowem; znajdująca się w sąsiedztwie historyczna Bastylla zdobytą zostanie po raz ostatni przy konających wystrzałach z moździerzy (dziś zdobywaną jest codziennie o godz. 9 i pół wieczorem) i wszystko powróci do *statu quo ante*. W dodatku skończyła się już sprawa z wyborami. Izba posiada znaczną większość republikańską, jak przedtem; Boulanger pobity osiadł, jak ongi Wiktor Hugo, na wyspie Jersey lub jak Garibaldi na Caprerze; zawiedzeni na nim monarchiści zamyślają stać się obecnie konserwatywnymi republikanami na wzór p. Ribot lub p. Leona Say — literatura zajmie więc znowu wybitne swe miejsce na widowni.

Oglądając się za piśmienniczym plonem ubiegłego lata, spotykamy w nim przedewszystkiem *Le Disciple* Bourgeta. Powieść poprzedził autor obszernym wstępem, w którym robi niejako obrachunek sumienia tego pokolenia pisarzów, które z nim razem wstąpiło w szranki; rachunek ten ma być zarazem nauką i podnietą dla uczniów, którzy widzą w autorze *Kłamstw* swego mistrza i starszego brata. Pozwolimy sobie zatrzymać się później nieco nad tą przedmową i samą powieścią, stawiącą przed nami dylemat odpowiedzialności czystych wywodów psychologii doświadczalnej wobec zagadnień i powikłań życiowych. Tu tylko zwracamy uwagę na samo postawienie podobnego pytania, które jest niewątpliwie charakterystycznem dla zwrotu, jaki się obecnie w literaturze francuskiej zapowiada. Bourget był pierwszym naturalistą czy realistą, który analizować zaczął człowieka ze strony nie tyle fizyologicznej, ile psychologicznej i tu właśnie natknął się na zagadnienia etyczne, które go mocno zaniepokoiły. Naturalizm wyzwolił człowieka z wszelkich krępujących go więzów psychicznych, moralnych, społecznych, z wszelkich ideałów, zakazów, grzechów i cnót; po za wolnością tą jednak spostrzeżono próżnię, której lękają się już umysły z pokolenia Bourgetowego. Wyrazem tego nastroju jest ciekawa książka, napisana przez jednego z młodych, M. Barrès'a, p. t. *Un homme libre*. Przed paru miesiącami Bourget chwytał każdego ze spotkanych na ulicy znajomych za guzik od surduta i witał go pytaniem: „czytałeś książkę Barrès'a?“ Autor nakreślił w niej z niemałym talentem „stan duszy“ „człowieka wolnego,“ który w tej wewnetrznej swobodzie staje się eklektykiem i sybarytą duchowym, bez zasad, przekonań i obojętnym na wszystko, co nie jest wyrafinowanem smakoszowstwem duchowem. Barrès nie pisze bynajmniej satyry, nie gorszy się tem i nie oburza, lecz maluje z całym spokojnym objektywizmem typ, do którego doprowadził nas umysłowy eklektyzm, zwany inaczej „renanizmem,“ uczuciowa obojętność i kult sztuki dla sztuki.

Dla wielu jednak ów typ „wolnego człowieka“ nie wystarcza. Dekadenci i symboliści wyprowadzić pragną literaturę z tego zastoju i epikurejskiego rozkoszowania się na jakiś wsteczny lub mistyczny gościniec, byleby tylko wyjść z miłego zabagnienia. Inni, spragnieni bardziej jakiejś wiary, jakichś uczuć silniejszych, jakichś bardziej określonych ideałów, rzucają się w objęcia spirytyzmu i całej seryi prądów pokrewnych, dających jakieś ideały, jakieś modły wytyczne, słowem nową religię, pogodzoną z nauką dzisiejszą lub raczej starającą się wyrosnąć na tym gruncie naukowym. Odkąd hypnotyzm stał się we Francyi przedmiotem nauki ścisłej i szerszego zajęcia, otworzono wrota do niezwiedzanego i mrocznego przybytku cudowności, wiary, intuicyi, przeczuć i natchnień, wizyj i widziadeł. Wkracza się tu przytem w całkowitym rynsztunku naukowym, z metodą pozytywną, doświadczeniami. Magnetyzm, hypnotyzm, poddawanie myślą itd. wprowadzili do nauki znani powszechnie uczeni; spirytyści także powołać się mogą na takie powagi, jak Crookes, Wallace, Zoellner, Wagner i inni. Żarliwi atoli zwolennicy spirytyzmu nie czekają na ostateczne rezultaty czynionych i przedsiębranych doświadczeń, lecz mkną szybko naprzód na lotnych skrzydłach hypotez i przypuszczeń, niebędących w formalnej choćby sprzeczności z wiedzą dzisiejszą. Nie mogę tu rozbierać samych teoryj spirytystyczno-okultystycznych; zauważę tylko, że kierunek ten stara się nie schodzić z przyrodniczego gruntu monistycznego, jeżeli zaś przypuszcza istnienie duchów niezależnych od ciała, to przejrzystą ich powłokę uważa również za jakiś wyższy stan materyi, za jakąś materyę nad—promienistą, jak przypuszcza Crookes. Do tych zapatrywań przyłącza się stary i odgrzebywany dziś przez teozofistów ezoteryzm indyjski, buddyzm, średniowieczna magia, alchemia itd. itd.

Wszystko to aż nadto wystarcza nowelistom i powieściopisarzom, spragnionym jakiejś nowej wiary, niezadowolonym z trzeźwego pozytywistycznego przeczenia i eklektycznego sybarytyzmu. Zaciągają się tu młodzi pisarze francuzcy jeden po drugim pod sztandar tej nowej wiedzy „hermetycznej.“ Stanisław Guaïta, utalentowany autor *Rosa mystica*, porzucił nawet zupełnie literaturę dla togi maga i występuje tylko na listach współpracowników pism, poświęconych tajemniczości. Inny znowu autor całego szeregu powieści, noszących zbiorowy tytuł *La Decadence latine*, p. Józef Peladan, uprawia jednocześnie powieść i hermetyzm. Znany również Edward Schuré wydał świeżo „szkic z historyi tajemnic religijnych“ p. t. *Les Grands inities*, a wreszcie Leon Hennique, pisarz naturalistyczny, ogłosił powieść p. t. *Un caractère*, osnutą na wątku spirytystycznym. Hennique debiutował powieścią p. t. *Elisabeth Couronneau*, w której opisywał wypadek religijnego obłędu; w ostatnim swym utworze płynie już z rozpiętymi żaglami po morzu odsłanianych dziś przez spirytyzm tajemnic. Sceptyczny nawet i gorzko ironiczny Guy de Maupassant napisał nowelę, owianą tchnieniem tajemniczości, p. t. *Le Horla*. Zola złożył także w swem *Marzeniu* danię zamiłowania do średniowiecznego mistycyzmu, z tem większą jednak zajadłością wraca do naturalizmu w wyjść mającej niebawem *La Bête humaine*. Mistrz naturalizmu przyznał atoli niedawno, w rozmowie z reporterem *Figara*, że dotychczasowy jego kierunek już przestaje zadawalać i dał do zrozumienia, że i on sam po ukończeniu seryi Rougon-Macquartów zwrócić może swe pióro w kierunku nowym, rodzącym się. Zwrot ten przy całem zamiłowaniu do mistycyzmu, tajemniczości i duchowości nie schodzi zresztą z gruntu naturalistycznego pod względem metody, języka i formy artystycznej, jak *occultisme* i spirytyzm stać usiłują na gruncie przyrodniczym. Nie będziemy stawiali żadnych proroctw odnośnie do Daudeta, nie zdziwilibyśmy się jednak, gdyby zdenerwowany i zmęczony dziś autor *Ewangelistki* szukał również wytchnienia, czy natchnienia na łonie nowej lub odnowionej nauki kabalistycznej.

Zaznaczyć wreszcie wypada, że świtająca dziś „naukowa religia“ spirytyzmu stara się łączyć swą metafizykę z „religią ludzkiego cierpienia,“ z dzisiejszymi prądami etycznymi i społecznymi, a nadto z zasadą rozwoju, która jest podstawą nauki nowoczesnej. Charakter ten występował wyraźnie na międzynarodowym kongresie spirytystycznym, który w połowie września odbył się w Paryżu. Zjechało się około 200 delegatów ze wszystkich krajów Europy, Ameryki i Azyi. Obradowano w wielkiej sali francuskiego Orientu. Niektórzy wolnomularze brali również udział w kongresie, który nie był wyłącznie spirytystycznym, lecz liczył w swem łonie przedstawicieli wszystkich prawie, nader licznych dziś kierunków pokrewnych. Byli tu więc, prócz spirytystów, spirytualiści, okultyści, teozofiści, uco-buddyści, ezoteryści, kabaliści itd. itd. Starano się wypracować zgodnie nową doktrynę. Głównym sekretarzem i referentem kongresu był znany już na polu badań nad hermetyzmem młody doktorant fakultetu medycznego w Paryżu, p. Encausse-Papus. Jest on także redaktorem wychodzącego w Paryżu miesięcznego przeglądu p. t. *l'Initiation*; wychodzi tu również *Le Spiritisme*, jako organ Unii spirytystów francuskich, *Le Propagateur Spi-*

rite, *Revue Spirite* i wiele innych pism tego kierunku. Prasa i literatura spirytystyczna mnoży się we Francyi z dniem każdym i zyskuje coraz liczniejszych zwolenników. Sala zebrań kongresu była zawsze szczelnie zapełnioną; mowy, wypowiadane gorąco i z zapałem, wywoływały niemniej żywe oklaski; zdawać się mogło, że jesteśmy na zebraniu pierwszych chrześcian gdzieś w katakumbach rzymskich; kongres jednak odbywał swe posiedzenia w pięknej sali przy jasnem świetle dziennem. Na jednem z jego posiedzeń prezydował p. Juliusz Jermina, powieściopisarz, autor wydanej niedawno „Conte astrale.“

E. P.

POEZYA.

ODRODZONY!

Zadumany, zamyślony, na świat zagniewany,
Patrząc mgławo w niebosklony, licząc serca rany,
Na fotelu z aksamitu, w ustach z papierosem,
Jakby sarkofag z granitu jęczy nad złym losem.

Lat dwudziestu, włosen raczej, przeżył ledwie młodzian,
A już doszedł do rozpaczy, w płaszcz *Weltschmertzu* odzian...
Jako Szekspir znienawidził nędzne ludzkie stadło,
Jako Byron z życia szydził i... patrzał w zwierciadło...

Więc na lud ten niegodziwy plwał niby na płazy,
Bał się wzruszeń jak pokrzywy, kobiet jak zarazy—
I przyroda wiecznie młoda, księżyc wiecznie blady,
Młodych dziewcząt blask, uroda, poetów ballady,
Kwiat na ziemi, a na niebie lśniących gwiazd bukiety,
Pogardliwie w duszy grzebie, jak grabarz szkielety...
Dziecko wieku, z szkiełkiem w oku, ubran z całym szykiem,
W tytuniowym mknie obłoku i... kręci wąsikiem.

Śliczny chłopiec! Więc kobiety za nim przepadają —
Lecz on woli grę rulety nad serca — co grają...
Bladość pięknej twarzy jego nie z uczuć wynika,
Lecz jest cieniem zielonego nocnej gry stolika...

I tak mija złotowłosa młodość, tyle warta,
Co dym wonny papierosa, co złamana karta!

Ból, co uszlachetnia rany, żar, co stwarza cuda
Nieznajome!.. lecz mu znany pessymizm i... nuda!..

* * *

Ot z długiego się uśpienia zbudził młodzian gładki.
Kląkł... ubłagał przebaczenia u zbolałej Matki.
Ta konając, błogosławi bożyszcze salonów,
—„Pytasz, mówi, co cię zbawi?.. Praca dla milionów!“

„Siej!—a chociaż plon daleki, choć łzą mokra niwa,
Siej!—a może Bóg po wiekach da doczekać żniwa!
I dla dzieci będzie święto, bo łza się opłaca...
Wiarą twoją, Trójcą świętą: praca—praca—praca!“

Bruksella, 17 paźdz. 1889.

Henryk Merzbach.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Co mówią mistrze i apostołowie ludzkości. — Kult tłumu. — Wspomnienie o Rudolfie. — Arcyksiążę Jan Salvator jako dziwak i ekscentryk. — Zdziwienia prasy demokratycznej nad jego demokratyzmem. — Największe dzieło ostatniego trzechlecia.— Syndykat naftowy.—Prus o ofierze Hirscha.—Szczególny sposób równouprawniania. — Wniosek praktyczny. — Gorliwość o szkoły rzemieślnicze u nas.— Paulina Luca. — Przerwa w hamletomanii.

Mówią jedni, że tylko mądrość jest dostojną, czci i zabiegów godną, wiecznotrwałą. Mówią drudzy, że tylko cnota jest szlachectwem duszy. Mówią mistrze i apostołowie ludzkości, że tylko to, co rozum zbadał, geniusz stworzył, a miłość zdziałała — stanowi chwałę i wielkość człowieka. Słyszy on tę naukę od tysięcy lat i ciągle albo drwi z niej, albo ją uważa za głos wołającego na puszczy. Jak zbrodniarz, który pomodliwszy się rano, idzie wieczorem na rozbój; jak świątobliwa opiekunka pokutujących Magdalen, która zmywa z nich grzechy przeszłości, a sama jest Magdaleną nigdy niepokutującą, tak również ciemny i ucywilizowany tłum ludzki, odmówiwszy mechanicznie codzień pacierz na cześć prawdy, piękna i dobra, tarza się w prochu przed bożyszczami znikomej albo nawet fałszywej—według niego—wartości. Znacie głupca lub łotra odzianego bogactwem, któremu nie składaliby hołdów wysławiający mądrość i cnotę? Ja go nie znam, a skarga na tę obłudę musi być starą i prawdziwą, bo stała się już oklepaną i nudną.

Kiedy arcyksiążę Rudolf odebrał sobie życie, nie mogąc poświęcić go temu, co wyznawał, czcił, kochał, obrzucili jego grób złorzeczeniami ci, którzy głoszą, że to samo wyznają, czczą i kochają. Nie mogli oni w żaden sposób objaśnić sobie jego śmierci pobudkami szlachetnego człowieka i wyszukali dla zagadki klucza w rozpuście, chorobie i upodleniu. Byli nawet i są tacy, którzy nie uwierzyli w jego samobójstwo i kazali mu zginąć z cudzej ręki. Jakto, czy podobna, ażeby ktoś mógł usunąć się ze świata, na którym posiadał miliony, pałace, dostatki, a w niedalekiej przyszłości koronę? To przechodzi granice pojętności czcicieli... prawdy, dobra i piękna, tej trójcy, której kult liczy najwięcej... łgarzów. Każda wiadomość, że jakiś książę nad próżniactwo, hulanki, balet i stajnię przeniósł naukę lub sztukę, rozgłaszana jest w pismach ze znakami małpiego zdziwienia i śród takich okrzyków, jak gdyby ów „oryginał“ z wysokiej góry rzucił się w przepaść lub jak gdyby orzeł zaczął się nurzać z kaczkami w błocie. Podobne zdumienie rozbrzmiało w prasie zagranicznej (naturalnie z echem w naszej), gdy wzruszony i przerażony telegraf doniósł z Wiednia o „niebywałym, nadzwyczajnym wypadku,“ mianowicie, że arcyksiążę Jan Salwator zrzekł się tytułów i dochodów, a złożywszy egzamin na kapitana okrętowego, postanowił pracować, jak tylu ludzi na świecie. Ten „książę niezłomny,“ ten „dziwak,“ ten „ekscentryk,“ którego opinia bez namysłu oddałaby pod obserwacyę psychiatrów, a nawet do szpitala obłąkanych, bo oprócz stanowiska i godności dziedzicznej pozbawił się kilkudziesięciu tysięcy guldenów dochodu, jest czemś tak cudacznem w oczach naszego „zdemokratyzowanego“ wieku, że gdyby pozwolił obwozić się i pokazywać, przedsiębiorcy zapłaciliby mu sowiciej, niż mówiącym rybom, koniom grającym na fortepianie i kotom śpiewającym *Cyrulika sewilskiego*. Nie osłabia to „ekscentryczności,“ że ów arcyksiążę ma „mózg pełen inteligencyi i umysł pełen twórczości,“ że jest człowiekiem ukształconym i zawsze objawiał upodobania szlachetniejsze, niż przeskakiwanie konno na ulicy karawanów z trumnami lub pokazywanie współtowarzyszom orgij żon swych w łóżku, czem się bawili jego krewniacy. Gdyby szalał, popełniał wszystkie zdrożności rozbestwienia, nazwanoby go panem rozumiejącym i lubiącym życie, miłym i sympatycznym, a nadewszystko normalnym; ale ponieważ chce pracować, więc go pakują w słój, zalewają spirytusem „demokratycznym“ XIX wieku i zachowują na pokaz dla przyszłości. I jakże w łonie tego wieku nie mają się rodzić przekleństwa dla jego obłudy i zgnilizny moralnej? Zaiste, potworny widok tych zdziwień, tej cynicznej niewiary w zdrowie dusz ożywionych szlachetniejszymi popędami! Z mojej odrazy do takiego bezwstydu wnoszę, jaką wzgardę uczuwać musi ten „dziwak,“ czytając o sobie artykuły pism „demokratycznych,“ które w jego przemianie z pasorzyta na człowieka myślącego i pracowitego widzą upadek i niesławę, które jeżeli nawet oszczędzają mu nagany, to nie oszczędzają szyderstwa.

Ale znowu zauważyć też trzeba, że ten wspaniały nasz wiek, który ośmiesza książąt, zostających doktorami medycyny lub kapitanami marynarki, coraz większą konsekwencyą wyprostowywa swą logikę. We Francyi — w republikańskiej, demokratycznej Francyi — nagrodę Lecomte'a, wynoszącą 50,000 fr. i przeznaczoną za „najznakomitsze dzieło z ostatniego trzechlecia“ przyznano komu? Inżenierowi Vieille za... proch bezdymny. Oto chwała naszego czasu! Szkoda, że ani Bismark, ani Moltke nie wypowiedzieli jej w fonograf Edisona i kazali mu dla potomności zachować jakieś sentymenty. Francuzi powinni sprostować te hasła czasu, bo prawnukowie nasi włożywszy kiedyś w fonograf blaszki ze słowami dziś na nich odciśniętemi, gotowi istotnie uwierzyć, że nam chodziło głównie o „wyższe wzloty ducha,“ skoro nawet feldmarszałek niemiecki o nich deklamował, nie zaś o proch bezdymny.

Jeszcze w łonie naszego kapitalizmu nie dojrzał syndykat węglowy, a już wystąpił z rogiem obfitości dobrodziejstw drugi — naftowy. Producenci tego materyału zobowiązali się do sprzedawania go z rezerwoaru według umówionej ceny (1 rs. 18 kop. za pud). *Kuryer codzienny* pocieszył spożywców, że „umowa ta stoi na bardzo wątłych podstawach,“ gdyż obowiązuje tylko co do sprzedaży na beczki, a nadto nie przystąpiła do niej inna grupa — Towarzystwo akcyjne Szybajewskie i firma Sachs. Ale „ktoś z interesowanych“ zdmuchuje w *Kuryerze warszawskim* ten płomyk nadziei, objaśniając, że Szybajew, sprzedawszy cały zapas, nie miał potrzeby przystępować do umowy, Sachs zaś, „jako w handlu naftowym małoznaczący, z układu wyłączony został.“ Wprawdzie autor tej glossy dodaje, że ów „układ, jak dotąd, słabe wydał rezultaty,“ ale jest to słodkawa obwijka dla gorzkiej pigułki, podobna do zapewnień dentysty, że wyrwanie zęba tylko troszkę boli. Całkiem niepotrzebnie tłomaczy nam interesowany, że zmowa okazała się „konieczną,“ gdyż „zaciekła konkurencya“ między drobnymi handlarzami doprowadziła cenę nafty do takiego poziomu, iż sprzedaż ledwie pokrywała koszta. Bo naprzód drobni handlarze nie mogą we współzawodnictwie licytować się *in minus*, jeżeli tego nie robią hurtownicy, a powtóre nawet bez „zaciekłej konkurencyi“ syndykat okazałby się „koniecznym“ i sprowadziłaby go sama natura rzeczy. Wszelkie zmowy, syndykaty, kartele kapitalizmu są logicznem rozwinięciem jego zasad i raczej dziwić nas powinien ich brak, niż obecność. Jeżeli dotąd mamy jeszcze jakieś ulgi w kosztach życia, zawdzięczamy tę łaskę jedynie niedojrzałości owoców gospodarki ekonomicznej wielkiego kapitału i „nieporozumieniu“ jego uczestników. Nic bowiem innego nie stoi im na przeszkodzie do „uporządkowania“ cennika wszystkich towarów rynku przemysłowego tak, ażebyśmy tyle płacili za każdy produkt, ile oni wyznaczą. Gdyby pewnego dnia wszyscy właściciele studzien naftowych postanowili na wspólnym kongresie, że garniec nafty ma kosztować trzy ruble, musimy płacić trzy ruble. Przeciw temu wyrokowi nie byłoby żadnej apelacyi. Zamiast tedy sarkać, dziękujmy losowi, że jest jeszcze tak miłosiernym.

Z powodu 12-milionowej ofiary barona Hirscha na rzecz szkół żydowskich w Galicyi, wywiązała się polemika między pismami, w której naturalnie szybko odezwały się pokrzyki naganki semityzmu i antisemityzmu. O ile z jednej lub drugiej strony padają słowa cuchnące, pociski błotne, wy-

mysły nic wspólnego ani z poważnem, ani z uczciwem myśleniem niemające, tj. o ile ślepe i dzikie namiętności toczą psią walkę — do sporu tego ani jako rozjemca, ani jako stronnik nie wchodzę. Natomiast zatrzymam się nad uwagami Prusa w *Kuryerze codziennym*. Odpowiadając bolejącemu *Izraelicie*, rozumuje on tak: „Nigdy nie odmawiałem żydom *praw do istnienia*, nawet do zajmowania *najpomyślniejszych i najwydatniejszych stanowisk...* Nie myślę jednak taić, skoro to spostrzegłem, że rozwój elementu izraelskiego na wielu polach dokonywa się w sposób *nieproporcyonalny*, który zachwiewa równowagę społeczną, a tem samem podkopuje zasadę równouprawnienia... W Galicyi żydzi stanowią 10% ogólnej ludności. Zatem wedle zasady równouprawnienia powinni (?) stanowić 10% nietylko między posłami, urzędnikami, adwokatami, lekarzami, kapitalistami, ale także między kupcami, rolnikami i nareszcie rzemieślnikami.“ Słabość Prusa do statystyki i słabość jego wywodów od statystyki — są znane. Obie występują tu bardzo wyraźnie. Bo czyż społeczeństwo jest miksturą, zrobioną według pewnej recepty lub związkiem chemicznym według pewnej formuły? Czy podobna ze stosunku jego żywiołów wyliczać arytmetycznie stosunek uprawnionego ich rozwoju? Czyż zawody ekonomiczne i sposoby zarobkowania są to godności obywatelskie i urzędy, nadawane jednostkom drogą wyborów lub nominacyj? Jak to można powiedzieć: skoro żydzi stanowią 10% ogółu ludności, zatem *powinni* stanowić 10% między lekarzami lub rzemieślnikami? Zapewne, można to powiedzieć, a nawet wykonać, ale nie stojąc na stanowisku „równouprawnienia,“ które znaczy tylko, że każdy osobnik posiada równy z innymi udział w korzystaniu z praw kraju. Wobec takiej zasady, żyd, pragnący zostać lekarzem, nie pyta, czy jest jeszcze dla niego miejsce w 10% pozostawionych jego współwyznawcom, lecz idzie do szkoły, uniwersytetu i zostaje lekarzem, tak jak znowu chłop, chociaż „powinien“ dla tego samego procentu porzucić rolę i wziąć się do rzemiosła, wcale tego nie robi. „Cała Galicya— mówi dalej Prus w swej socyologii arytmetycznej — ma 43 szkół fachowych, na co wydaje rocznie 184,000 guldenów; znaczy to, że żydzi powinniby tam mieć tylko 4 szkoły fachowe żydowskie, z rocznym budżetem 18,000 guld. Tymczasem przychodzi *Alliance Israélite* i ofiaruje żydom aż 12,000,000 guldenów, za które panowie ci mogą utrzymać nie 4, ale 33 szkoły fachowe... Pozostaje więc jedno z dwojga: Albo miejscowa ludność Galicyi złoży 108 milionów guldenów na ufundowanie szkół wyłącznie dla siebie; albo za kilkanaście lat ukształconymi rzemieślnikami w Galicyi będą tylko żydzi, a ich separatyzm zyska nowy, potężny przywilej i pobudkę. Czy to zaś będzie zgodne z zasadą równouprawnienia?..“ Owszem, najzupełniej. Może to być niezgodnem z dobrem większości zaludnienia i bardzo dla niej niepożądanem, ale zasadzie równouprawnienia nie przeczy wcale. Konstytucya austryacka pozwala ofiarowywać pieniądze na cele oświaty i zakładać szkoły, a kto chce ograniczyć żydów w tej mierze, musi porzucić zasadę równouprawnienia, która mu swego poparcia nie da, musi odmówić im „najpomyślniejszych i najwydatniejszych stanowisk,“ musi — jeśli chce być szczerym i konsekwentnym — stanąć na stanowisku praw wyjątkowych. Innego wyjścia niema, gdyż odmierzanie procentów jest tylko zabawką arytmetyczną. Rozumowanie tedy Prusa krystalizuje się w taki wniosek praktyczny: ponieważ ofiara Hirscha spotęguje rozwój niepożądanego dla ludności polskiej w Galicyi żywiołu żydowskiego, zwłaszcza że bogacze tej ludności nie zdobędą się na podobną wspaniałomyślność, przeto rząd powinien zakazać użycia daru milionera izraelskiego na zakładanie szkół dla jego współwyznawców, lub też dopuścić spotrzebowanie funduszu częściowe, proporcyonalne, 10-procentowe. Niech tak będzie, tylko nie nazywajmy tego równouprawnieniem.

— „Jestem dla cudzoziemek bardzo gościnną—zawołała pewna francuzka na kongresie damskim w Paryżu. Jestem gościnną, przyjmę je ze wszelkimi honorami, ale mego łóżka nie odstąpię żadnej z nich.“

„My także nie odstąpimy (żydom) swoich łóżek nawet w imię humanizmu i filantropii“ — powiada Prus. Właściwie zaś należałoby według niego powiedzieć: „Nie pozwolimy wam wnosić swoich łóżek do naszego pokoju, w którym my sypiamy na tapczanie.“

A tapczan ten twardy i wązki—po części z naszej winy. Sekcya rzemieślnicza Towarzystwa popierania przemysłu i handlu przez całą zimę zajmowała się obmyśleniem najbardziej pożądanych szkół dla rzemiosł. Określono typy, miano opracować projekt i przesłać go na petersburski zjazd techników przy końcu r. b. Tymczasem sprawa ta została dla całego państwa rozstrzygnięta w drodze prawodawczej, a p. prezydent odniósł się do Towarzystwa z zapytaniem, jakie postacie szkół rzemieślniczych należałoby otworzyć w Warszawie. Prezes sekcyi zwołał jej członków na naradę bardzo ważną: czy projekt samodzielny dalej popierać i jaką dać odpowiedź prezydentowi. Niestety, przybyła na obrady tak szczupła garstka chętnych, że musiano wyrzec się rozpraw i odłożyć je do liczniejszego zgromadzenia. Ale gdyby baron Hirsch przysłał żydom warszawskim 12 milionów rs. na szkoły rzemieślnicze, sale Towarzystwa nie pomieściłyby protestantów. Czyby nie lepiej i skuteczniej było obrabiać swój zagon troskliwie, niż spędzać siewców z żydowskiego?

Co prawda, oderwała nam uwagę od tych nudnych rzeczy Luca niespodziewanem przybyciem i koncertem. Krzywią się ludziska, że wybrała się do nas zbyt późno z resztkami głosu zestarzałego i podartego na długoletnich wędrówkach; wymawiają jej, że kto już śpiewał w Bielsku (galicyjskim), nie powinien przyjeżdżać do Warszawy; nawet ktoś z Radomia, chcąc lepiej uwydatnić metrykę artystki, zaręcza w *Wieku*, że słyszał ją przed trzydziestu laty, będąc „młodem chłopięciem,“ a dziś jest „posiwiałym dziadkiem kilkorga wesoło brykających wnucząt“ — co ma znaczyć, że jeżeli chłopię zdążyło w ciągu tego czasu zostać „posiwiałym dziadkiem,“ to cóż dopiero kobieta, a zwłaszcza śpiewaczka! Mimo to sądzę, że podczas koncertu Luci ściany sali trzeszczeć będą od natłoku, a po koncercie — kolumny prasy od studyów. Te ostatnie powitamy z radością, bo gdybyśmy dłużej jeszcze mieli czytać rozprawy o Hamlecie w „nowem pojmowaniu,“ nie potrzebowalibyśmy, jak królewicz duński, udawać waryacyi, bo groziłaby nam ona rzeczywiście. Rozpacz już nas ogarniała... To też przez litość dla czytelników mój komentarz do *Hamleta*, a raczej do jego komentatorów, odkładam na przyszły tydzień.

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

„Klub ludzi pracy“ tworzy się w Petersburgu. Każdy człowiek pracy może być członkiem klubu bez różnicy stanu i zajęcia. Wykluczeni są tylko szynkarze i właściciele lombardów.

Bankructwo. Dom bankierski Singera i Sp. w Petersburgu i Moskwie zawiesił wypłaty. Pasywa 195,000 rs.

Projekt ograniczenia procentowego udziału izraelitów w adwokaturze wkrótce wniesiony będzie do Rady państwa.

Kary. Sędziowie pokoju skazali w Warszawie w ciągu tygodnia 21 właścicieli domów na grzywny za wykroczenia sanitarne. Jednocześnie komisye sanitarne zrewidowały 342 posesye, z których w 27 znaleziono nieporządki i gospodarzy pociągnięto do odpowiedzialności sądowej.

Koleje. Linia kolei Zakaspijskiej będzie przedłużona aż do miejscowości Kisłowodsk, położonej na zachodnim brzegu morza Kaspijskiego. Długość tej nowej linii wyniesie 240 wiorst.

— Z d. 1 kwietnia r. p. rozpocznie się budowa drogi Żytomiersko-Berdyczowskiej pod kierunkiem inżeniera Mackiewicza.

— Zarząd kolei państwowych: Riażsko-Wiaziemskiej, Morszańsko Syzrańskiej i Riażsko-Morszańskiej w d. 1 stycznia r. p. połączone zostaną w jedną całość.

— Kolej Libawsko-Romeńska w lutym r. p. przechodzi na rzecz skarbu.

— *Birż. Wied.* donoszą z pewnego źródła, że wkrótce utworzona będzie specyalna komisya z przedstawicieli ministeryum skarbu, komunikacyi i kontroli państwa w celu przejrzenia i oszacowania majątku kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, tudzież opracowania projektu skupu tej linii.

— Rząd austryacki zamierza upaństwowić w roku przyszłym prywatną dotychczas linię kolei galicyjskiej Karola Ludwika na przestrzeni Lwów-Kraków.

Wystawy. Z końcem września otwarto w Kiel wielką wystawę pszczelniczą.

— W Petersburgu otwarto wystawę pszczelniczą, w której wzięło udział 300 eksponentów.

Zjazdy. Pewna grupa fabrykantów stara się o zwołanie zjazdu przedstawicieli przemysłu fabrycznego w Petersburgu.

— W Kolonii odbył się zjazd niemieckich nauczycieli głuchoniemych. Obecnie Prusy posiadają 48 instytutów dla głuchoniemych, w których wychowańców jest 3,913, nauczycieli — 477.

— Dziesiąty międzynarodowy zjazd lekarski odbędzie się w Berlinie 4—10 sierpnia r. p. Przewodniczącym będzie Virchow.

— Wkrótce odbędzie się w Petersburgu zjazd naftowy.

Katastrofa. Pociąg towarowy na stacyi Voltri natknął się na pociąg, wiozący pielgrzymów francuskich z Rzymu. Kilku z tych ostatnich poniosło ciężkie rany; konduktor pociągu towarowego zabity.

Szkoły. Do wszystkich gubernatorów w Królestwie Polskiem rozesłano okólnik z zapytaniem, gdzie i jakiego mianowicie rodzaju mogą być założone szkoły podług nowego typu.

— Szkoły jednoklasowe zwinięto: w Płońsku ogólną, w Jędrzejowie żeńską i takąż w Dobrzynlu Małym.

— Krakowskie Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych obradowało nad sposobami zapobieżenia ubytkowi sił nauczycielskich, który się co rok powiększa i władzom szkolnym uniemożliwia rozkład klas na oddziały równorzędne.

— Wychowańcy szkół handlowych rządowych mogą być przyjmowani do instytutów weterynaryjnych, nie inaczej wszakże, jak po złożeniu w oznaczonym zakresie dodatkowego egzaminu ze znajomości języka łacińskiego.

— Na skutek poruszonej kwestyi przez radę uniwersytetu warszawskiego, ministeryum wydało rozporządzenie, że studenci oraz wolni słuchacze piątego kursu medycyny, którzy w ciągu roku akademickiego nie złożyli półrocznych egzaminów, nie będą dopóty dopuszczani do egzaminów lekarskich, dopóki nie odbędą półrocznych egzaminów ze wszystkich przedmiotów.

— Opłata szkolna w IV gimnazyum męzkiem w Warszawie, z postanowienia ministra oświaty, podniesioną została z 40 na 50 rs. rocznie.

— Ministeryum zatwierdziło zapis Anieli Zawidzkiej 7,500 rs. dla studentów uniwersytetu warszawskiego, polaków katolików.

— Przy lwowskiej szkole politechnicznej utworzona będzie katedra gospodarstwa kolejowego, na którą powołany został br. Gostkowski.

Subjekci handlowi, żydzi, w Warszawie, wnieśli do prezydenta miasta, a następnie do p. oberpolicmajstra prośbę o zmniejszenie liczby godzin pracy w sklepach, która trwa nieraz po 16 godzin dziennie.

Skutkiem tego subjekci żądają, aby w przyszłości sklepy otwierane były o godzinie 8-ej zrana i zamykane o 8-ej wieczorem, nie zaś jak dotąd o 11 lub 12. Prośba podobno została przychylnie przyjętą.

Cło. Poruszono sprawę podwyższenia cła wywozowego od wytłoków w wysokości 20 kop. w złocie od puda.

Węgiel. Nad rzeką Oką natrafiono na obszerne pokłady węgla. Wartość produkcyjną obliczają na 450 mil. rs.

Ustawa lekarska. Przy ministeryum spraw wewnętrznych utworzono komisyę, której poruczono opracowanie nowej ustawy lekarskiej.

Metryki końskie. Dla ukrócenia kradzieży koni będą wprowadzone odpowiednie świadectwa z jaknajdokładniejszym opisem konia. Przy sprzedaży właściciel konia musi przekazać metrykę nowemu nabywcy z odpowiednią adnotacyą. Tym sposobem posiadający konie bez świadectwa, jako podejrzani, będą pociągani do odpowiedzialności.

Wiadomości literackie. Prof. Siergiejawskiemu pozwolono wydawać bez uprzedniej cenzury miesięcznik p. t. *Juridiczeskaja letopiś.*

— W Paryżu firma E. Cantin zamierza wydać zeszytami dzieło p. t. „Le monde Slave." Dział Polski objął T. T. Jeż.

— W Bytomiu przy wydawnictwie gazety *Katolik* wychodzi co miesiąc pismo obrazkowe dla ludu p. t. *Światło.*

— W Stanach Zjednoczonych wychodzi obecnie 16,319 gazet; z tych 37 ma przeszło po 100,000 abonentów, 209 po 25,000. Dzienników jest 1,494 (150 w Nowym-Yorku), tygodników 11,791.

— Dr. Aleksander Brückner, prof. filologii słowiańskiej w Berlinie, pisze obszerną historyę piśmiennictwa polskiego.

— Wkrótce w obiegu księgarskim ukaże się nowa powieść Zoli „La bête humaine."

Bibliografia. T. Chrzanowski, *Badania z historyozofii,* część II. str. 102, Kraków.

— *Encyklopedya rolnicza* (wydawana przez Muzeum przem. i roln.). Zeszyt VII zawiera: brona, bruk, brukiew, brzoskwinia, brzoza, budownictwo wiejskie.

Zapisy. Zmarły przed kilku dniami w Kaliszu Symeon Szymanowski, właściciel handlu win, zapisał na cele filantropijne 100,000 rs.

— Miasto Düsseldorf odziedziczyło fortunę dyrektora miejscowego sądu krajowego, Oskara Adesa, w sumie 2,500,000 marek. Miasto obowiązane jest z tego spłacić 500,000 marek legatów. Procent pozostały od dwóch milionów użyty będzie na budowę domów dla robotników i na stypendya dla młodzieży utalentowanej, a pozbawionej środków kształcenia się.

Wynalazki. Do biura przemysłu i handlu p. A. Czaplicki nadesłał próby wynalezionej przez siebie cegły ogniotrwałej.

— Fortepian elektryczny zbudował w Berlinie dr. R. Lisenmann. Zamiast klawiszów prąd elektryczny wydobywać ma tony ze strun.

— W Nowym-Yorku odbyły się próby z armatą pneumatyczną, wynalezioną przez polaka Żelińskiego.

Zmarli. Jan Bridgemann, dramaturg w Londynie.

— K. W. Sikes, założyciel pocztowych kas oszczędnościowych, w Huddersfield.

— Albert du Roys, pisarz francuski.

— Joule, fizyk angielski.

— Kazimierz hr. Wodzicki, b. poseł do sejmu i do Rady państwa, ornitolog, w Olejowie, w Galicyi.

— Michał Benon Ferencowicz, malarz, w Warszawie.

— Jan Rymarkiewicz, prof., prezes Tow. pom. nauk w Poznaniu.

— Francois de Bossuet, najstarszy z malarzów belgijskich, prof. Akademii w Antwerpii.

— Karol br. Czoernig, głośny statystyk austryacki. Jego dziełem jest większa część urządzeń handlowych i kolejowych w Austryi.

— Farnie, w Paryża, dramaturg angielski.

— Br. v. Hogendorp, główny kierownik *Dagblatu* w Haadze, najskrajniejszy zachowawca holenderski.

— Józef Kasprowicz, artysta dramatyczny teatru lwowskiego.

— Rudolf Hahn, zapomniany dziś już pisarz dla sceny. Napisał 173 sztuk. Zmarł w nędzy.

— Emil Augier, najznakomitszy ze współczesnych dramaturgów francuskich. Ur. w r. 1820. Autor *Syna Giboyera, Rodziny Fourchambault* i wielu innych sztuk, grywanych również i naszej scenie.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy PRAWDY otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Октября 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski